BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Mecenasie kultury prosimy do dzieła

Jerzy Dostatni

A WIĘC nareszcie, nareszcie stała się rzecz w naszym mieście raczej niezwykła: od 10 lutego istnieje oficjalnie Fundusz Rozwoju Kultury. I to obejmujący całe województwo. Prawnicy i ludzie biegli w gąszczu przepisów, których tylko śledziennicy mogliby nazwać biurokratami, po trzech latach szperania znaleźli wreszcie podstawę prawną do stworzenia takiego funduszu. Ba — nawet trzy podstawy: ustawę, rozporządzenie Rady Ministrów i zarządzenie jednego ministra. Powinszować.

Ale drugi fakt zasługuje na jeszcze silniejsze podkreślenie. Nigdy nie mogliśmy w naszym województwie, a zwłaszcza w samym Lublinie, narzekać na brak różnych projektów, tak czy inaczej dotyczących kultury. A zwłaszcza gdy chodziło o projekty inwestycyjne: co i gdzie budować. Ponieważ jednak nigdy nie można było znaleźć chociażby 10 osób, zgadzających się na jeden projekt, w rezultacie nie mamy ani nowego czy chociażby rozbudowanego gmachu dla teatru, ani sali widowiskowej, ani kina dla filmów na taśmie 75 mm, od 20 lat nie możemy zakończyć renowacji słynnych w świecie fresków, ostatnio nawet przerwaliśmy szczęśliwie dalszą odbudowę północnego skrzydła Zamku...

Tymczasem teraz wcale pokaźna liczba osób jeżeli nie przyczyniła się do podjęcia uchwały o stworzeniu FRK, to przynajmniej przestała temu przeszkadzać. Co więcej — w Wojewódzkiej Komisji Rozwoju Kultury znalazło się prawie 20 osób, które z tytułu funkcji zawodowych zarządzają wcale pokaźnymi sumami na inwestycje kulturalne czy upowszechnianie kultury. A jako członkowie owej komisji już z góry przecież decydują się na wspólne działanie, na łączenie środków nie dla partykularnych, lecz wspólnych celów. I dlatego po kilku złośliwostkach, wyrosłych na żyznym dotąd gruncie przykrych doświadczeń, czas przejść do pozytywnych realiów dnia dzisiejszego i jeszcze lepszych widoków na przyszłość.

Jak dotychczas, na koncie Funduszu Rozwoju Kultury nie widać oczywiście ani jednej złotówki. I sporo jeszcze upłynie zatrutej wody w Bystrzycy, nim zaczną napływać. Zwłaszcza że wszystko polega na pełnej dobrowolności: chcesz to wpłacisz — więcej, mniej albo i nic. Nawet podjęta w określonych warunkach deklaracja będzie potem miała znaczenie tylko moralne, bo prawnie nie będzie możliwości wyegzekwowania deklaracji.

Dokończenie na str. 7

W NUMERZE: Maria Bechczyc-Rudnicka — Tartufe playboyem, Maria Gawarecka — „Harmonia", Czesław Klepacki — W poczekalni, Andrzej Łuczeńczyk — Pociągi powrotne, Maciej Podgórski — Z rzeczywistości i na oko, Leszek Więcko — Lepienie dziadka, Mirosława Zakrzewska-Dubasowa — Lenin o kulturze, „Ziemia i pieśń"

Kamena

Rok założenia 1933

LUBLIN 15.III.1970 Nr 6 (439) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Degrengolada stompers

Stanisław Harasimiuk

NIKT nie prowadzi statystyk i nikt dokładnie nie wie, ilu młodych ludzi uprawia dziś w kraju tzw. muzykę mocnego uderzenia. Znawcy twierdzą, że — licząc skromnie — struny elektrycznych gitar sztandarowego instrumentu bigbitu *) szarpie co najmniej kilka milionów par rąk mniej lub bardziej długowłosych młodzieńców, a pozostałe miliony nastolatków to członkowie zespołów bitowych i soliści in spe, którzy dotychczas — z różnych względów — nie zdążyli jeszcze zrealizować swoich pokoleniowych marzeń. Stąd pełne uzasadnienie w rzeczywistości ma powszechnie znana anegdota, wedle której wśród dwutysięcznej na przykład widowni zespołu „NO TO CO" czy jakiegokolwiek innego — półtora tysiąca to członkowie rozmaitych muzykujących grup młodzieżowych, 450 to solistki i soliści, a 50 tylko ludzi przyszło posłuchać koncertu, by tak rzec, bezinteresownie.

W województwie lubelskim przy zakładach pracy, (w pionie tzw. związkowym) w 1968 r. istniały 142 zespoły, zrzeszające 1 505 instrumentalistów i piosenkarzy (bardziej aktualnych liczb WKZZ jeszcze nie posiada, szacunkowo ocenia się, iż do dziś szeregi związkowych muzyków wzrosły o 30—40 proc.). We wszystkich typach szkół działa ponad 180 zespołów z około 2 tys. muzykujących uczniów. Pozostali długowłosi muzycy, a liczba ich jest niemała, grają w zespołach, którym patronuje resort kultury, kluby i domy kultury, resort obrony narodowej, organizacje ZMS i ZMW, a także w zespołach zakładanych samorzutnie, na prawach wolnych stowarzyszeń.

W samym Lublinie zarejestrowanych jest 56 zespołów bitowych o przeciętnym składzie 5—6 osób. Ile jest w naszym mieście zespołów „dzikich", a więc pozbawionych oficjalnego mecenatu i fachowej opieki instruktorskiej — nikt z nagabywanych nie był w stanie odpowiedzieć. Najskromniejsi twierdzili, że drugie tyle, mniej skromni, że pięciokrotnie więcej, a niepoprawni już optymiści — że „co najmniej dziesięć razy więcej". Prawda leży zapewne pośrodku.

Nie ma natomiast żadnych wątpliwości co do kosztów. Przeciętna cena względnie przyzwoitego wyposażenia jednego zespołu lubelskiego zawiera się w granicach 40—60 tys. zł. Zatem wyposażenie zarejestrowanych zespołów bitowych samego tylko Lublina kosztowało w przybliżeniu 2 800 tys. zł. Opieka instruktorska też ma swoją cenę; średnia stawka za godzinę pracy instruktora wynosi 25 zł. Wymyślne a ucieszne stroje kosztują także. *I to słono:* jeden ze średniej wielkości ZDK lekka a ciepłą ręką mecenasa jednorazowo przeznaczył na stroje i sprzęt okrągłą sumkę... pół miliona złotych.

Oczywiście, wyliczenia mogą być tendencyjne. Przestają nimi być po skonfrontowaniu z efektami, rolą i funkcją, jaką w społeczeństwie spełniają. Zwolennicy bigbitu wytaczają w tym miejscu dzieło najtęższego kalibru: młodzieżowy ruch bitowy spowodował, na niespotykanie dotąd masową skalę, obcowanie młodego pokolenia z muzyką. Przeciwnicy powiedzą, że „bigbit przecież nie ma nic wspólnego z muzyką". I tym razem prawda znajdzie się zapewne pośrodku...

Zanim jednak historia dokona bezwzględnej weryfikacji poglądów, przyjrzyjmy się obiektywnym, dziś już oczywistym faktom. Otóż wśród bitowców naszego regionu elemen-

Dokończenie na str. 6

*) Używam konsekwentnie tego terminu w transkrypcji fonetycznej jako że jest on tworem lingwistycznym czysto polskim; określenie współczesnej muzyki rozrywkowej mianem bigbitu nie występuje w żadnym innym języku na świecie: anglosasi, a za nimi cały Zachód i cały świat stosują nazwę „pop-music" lub „sweet-music".

POWRÓT NAD ODRĘ

Ireneusz J. Kamiński

„Wrocław jest dla mnie miastem polskim nie dlatego, iż zachowały się w nim cegły czasów Bolesława Krzywoustego, ale dlatego, że trzysta tysięcy polskich pionierów umiało przepoić życiem wypalone i połamane mury".

Ilja Erenburg, 1947 r.

W GAZECIE „Wieczór Wrocławia" w rubryce ważnych telefonów znajduje się taki numer: „516-12 — zgłaszanie niewypałów". Tyle pozostało z „Festung Breslau", z hitlerowskiego miasta, ogłoszonego twierdzą 1 stycznia 1945 r. Prawie nic, a przecież ile przygnębiających refleksji powoduje.

Epizod wojenny Wrocławia nie miał większego znaczenia dla przebiegu ostatniej wojny, a przecież kosztował on życie tysięcy żołnierzy radzieckich. Na otwartym 16 maja 1945 r. cmentarzu na Krzykach znajdują się groby 763 oficerów, cmentarz na Skowroniej Górze kryje ciała 7121 żołnierzy Armii Czerwonej.

Wrocław wraz z Głogowem, Opolem, Kostrzyniem, Szczecinem, Kołobrzegiem, Piłą, Gdańskiem, Elblągiem i innymi miastami tej strefy geograficznej tworzył system twierdz, które otrzymały rozkaz nieustępliwej, totalnej walki z przeciwnikiem, skutecznie hamującej jego ofensywę na Zachód. Wrocław padł po 80 dniach oporu, jego załoga zrealizowała tylko jedno założenie taktyczne: „spalonej ziemi". Majątek trwały miasta został zniszczony w 74 procentach. Z 30 tys. budynków uchowało się zaledwie 12 tys. — bez dachów, okien, drzwi. W jaskrawym słońcu lata 1945 r. Wrocław czernił się ogromnym rumowiskiem 400 km kwadr. gruzów. Na jednym z większych pobojowisk Europy przyszło nam wznieść nowe miasto.

Na to wszystko — pisał E. Osmańczyk — *potrzeba ludzi rzutkich, zdecydowanych, nie bojących się dwudziestogodzinnego dnia pracy w warunkach najcięższych, najtrudniejszych. To jest ziemia dla silnych energii. To, że w takiej pracy odpadną słabsi, nie martwi nas. Nad Odrą tych, co się boją trudu i własnego potu, nie trzeba. Oni nie robią historii.*

* * *

Andrzej Will powie po latach, że zjawił się we Wrocławiu na zaproszenie książąt niemieckich. Było to jednak niezwykłe zaproszenie, ponieważ nie dawało żadnej innej możliwości wyboru. Zaskakuje też pewna obcesowość zaproszeniowej formuły, zaczynającej się od słowa „halt!", które usłyszał na ulicy podwarszawskiego Pruszkowa we wrześniu 1944 r., po upadku powstania. Zatrzymał się i od tego momentu jego losy związały się z Wrocławiem, który był wówczas punktem etapowym dla ludzi pojmanych w łapankach.

Po krótkim okresie „adaptacji" na terenie dzisiejszych Dolnośląskich Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Dolmel", przyszyto mu na bluzie dużą literę „P" i skierowano do jenieckiej pracy. Nikt z Niemców nawet nie podejrzewał, że to „P" zapanuje wkrótce nad miastem.

Do Wrocławia nie docierały jeszcze echa frontowych wystrzałów, na co dzień i na zewnątrz miasto żyło normalnie. Poza tym Führer obiecywał Vunderwafen. Jesienią 1944 roku wrocławscy Niemcy tłumnie spacerowali ulicami miasta, przesiadywali w kawiarniach, targowali się w jasno oświetlonych sklepach. Może ta ruchliwość i gwarność były następstwem skrywanego niepokoju, przeczuciem nadciągającej klęski? Will nie mógł tego wiedzieć, bo obserwował miasto i jego ludzi tylko przez szyby zaciemnionego tramwaju, którym wczesnym rankiem i późnym wieczorem wożono jeńców do pracy. A z tramwaju — widma widział po prostu kawałek zwykłego, normalnego życia. Musiało to być niezwykle silne wrażenie, jeśli

Dokończenie na str. 6—7

Kolegium Redakcyjnemu i Zespołowi Redakcji

„SZTANDARU LUDU"

życzenia wszelkiej pomyślności w pracy i w życiu osobistym

w 25-lecie powstania pisma

składają Kolegium Redakcyjne i zespół „Kameny"

teatrnn.pl

Kultura 1970

Zmarli

✡ W Paryżu 86-letni Władysław Dąbrowski, artysta-introligator; zarazem ostatni z grupy „bajończyków", ochotników polskich, którzy po wybuchu I wojny zorganizowali się w Bayonne, a potem wyruszyli na front francusko-niemiecki.

✡ 81-letni pisarz żydowski Józef Agnon, który w 1966 r. wraz z poetką szwedzką Nelly Sachs otrzymał nagrodę literacką Nobla.

✡ 72-letnia poetka amerykańska, Louise Bogan, autorka wielu zbiorów poezji i esejów, laureatka kilku nagród. W ciągu 30 lat była krytykiem w dzienniku „The New Yorker".

Literatura

✡ Nagrody Penclubu dla tłumaczy otrzymali: Juliusz Żuławski za całokształt przekładów poetyckich literatury angielskiej i hiszpańskiej oraz Edyta Sicińska za przekłady prozy niemieckiej. Zespołową nagrodę za antologię poezji polskiej w języku rosyjskim — W. Lewik, D. Samojłow i B. Stachiejew.

✡ 23 lutego minęła 25 rocznica śmierci Aleksego Tołstoja. W Polsce wydano od tego czasu 43 jego utwory w nakładzie 820 tys. egzemplarzy.

✡ W tym roku Wydawnictwo Lubelskie opublikuje Włodzimierza Diegtiariewa „Zwyciężając śmierć" w przekładzie M. Klimkowskiego. Diegtiariew to słynny „Chłopiec z Salskich Stepów" Neweriy'ego.

✡ Jeżeli „Czytelnik" dotrzyma zapowiedzi, to jeszcze w tym roku ukaże się IV tom wspomnień J. Putramenta pt. „Literaci" (z serii „Pół wieku").

✡ W Bukareszcie odbyła się kilkudniowa narada przedstawicieli kierownictw związków pisarzy krajów socjalistycznych. W skład delegacji ZLP wchodzili J. Lenart, W. Machejek, L. Lewin i J. Koprowski.

✡ W latach 1946—68 w 39 językach narodów radzieckich ukazało się 1320 tłumaczeń z polskiej literatury pięknej o ogólnym nakładzie 48,4 mln egzemplarzy. Jeżeli chodzi o nakłady pierwsze miejsce zajmuje Sienkiewicz, drugie — Prus, trzecie — Orzeszkowa, czwarte — Mickiewicz.

✡ We Francji dokonano sensacyjnego odkrycia: odnaleziono kilkaset listów, pisanych przez Turgieniewa i do niego przez jego przyjaciół i znajomych. Przynoszą one ogromną liczbę nie znanych dotychczas faktów z życia znakomitego pisarza.

✡ Międzynarodową nagrodę im. Andersena, uważaną za swego rodzaju nagrodę Nobla dla twórców literatury dla dzieci, otrzymał 36-letni Włoch Gianni Rodari. Za ilustracje do książek dla dzieci — Amerykanin Maurice Sendak.

✡ Według oceny krytyków brytyjskich ubiegły rok nie był szczęśliwy dla beletrystyki w Wielkiej Brytanii. Natomiast ukazało się bardzo wiele dobrych książek biograficznych, które cieszyły się olbrzymim powodzeniem.

Teatr

✡ Teatr Powszechny, który przed 25 laty był pierwszą placówką teatralną na skrawku wyzwolonej Warszawy, został odznaczony orderem Sztandaru Pracy II klasy. Od tego czasu teatr wystawił 173 premiery, spektakle oglądało 5 mln widzów.

✡ Warszawski teatr „Ateneum" wystawił „Głupiego Jakuba" T. Rittnera. Reżyserem i Szambelanem jest Jan Świderski.

✡ W teatrze „Kalejdoskop" w dzielnicy łacińskiej Paryża występuje para polskich mimów Halina i Janusz Kieszczyńscy. Sala jest stale wypełniona do ostatniego miejsca.

✡ W połowie kwietnia przybędzie do Paryża na kilkanaście występów mim czechosłowacki Ladislav Fialka wraz ze swoim zespołem.

✡ Znany i u nas satyryk amerykański Art Buchwald napisał sztukę „Owce na pasie startowym", którą wystawiono w jednym z teatrów na nowojorskim Broadwayu. Jest to bardzo ostra satyra na współczesną politykę zagraniczną USA. Akcja toczy się w mikroskopijnym państewku w Azji, zbyt małym, aby przedłużyć na swoim terytorium pasy startowe dla nowoczesnych samolotów wojskowych.

✡ Jak donosi londyński „The Observer", Samuel Beckett napisał najkrótszą w historii teatru sztukę, która wkrótce ma być wystawiona. Sztuka trwa wszystkiego 30 sekund i nie wymaga ani jednego aktora, a „dekoracje są różne".

✡ Niemal w ostatniej chwili wycofano z repertuaru w jednym z teatrów brukselskich sztukę Ionesco. On sam tak to skomentował: przed trzema miesiącami dyrektor teatru prosił mnie o list polecający, aby otrzymać większą subwencję. Zapomniałem napisać i teraz są tego skutki.

Sztuka

✡ W Krakowie rozpoczęto prace konserwatorskie przy XV-wiecznym Barbakanie. Obejmą one także zrekonstruowanie fosy obronnej.

✡ W czasie budowy magazynów w Legnicy odkryto jakieś mury. Okazało się, że jest to prasłowiańskie cmentarzysko sprzed 2700 lat. W grobach znaleziono ceramikę i ozdoby z brązu.

✡ Ponad 300 artystycznych dywanów utkała po wojnie Aurelia Majewska z Wasilówki pod Sokółką w woj. białostockim. Niektóre z nich powędrowały aż za ocean.

✡ Na 6773 członków Związku Polskich Artystów Plastyków 2356 mieszka w Warszawie.

✡ W warszawskim Ośrodku Kultury Czechosłowackiej odbyła się wystawa 35-letniego dorobku Josefa Liesiera, obejmująca 170 pozycji.

Muzyka

✡ Opera paryska po raz pierwszy od chwili powstania grać będzie wyłącznie dla publiczności robotniczej. Dwa przedstawienia wykupiły organizacje związkowe w fabrykach samochodowych.

✡ Orkiestra Filharmonii Narodowej pod batutą Witolda Rowickiego z solistami Konstantym Kulką i Andrzejem Orkiszem wystąpiła kilkakrotnie w Kairze, wzbudzając entuzjazm wśród słuchaczy. Szczególnie gorąco, co było zaskoczeniem, witano utwory Moniuszki. Orkiestra wystąpi następnie w Libanie, Iranie, Indii, Singapurze, Australii, Hongkongu, Filipinach i w Japonii.

✡ Najbliższą premierą (21 marca) w Teatrze Wielkim w Warszawie będzie „Wesele Figara" Mozarta, następnie ujrzymy „Trubadura" Verdiego oraz „Romeo i Julię" Prokofiewa. Po wakacjach „Halka" Moniuszki.

✡ Lech Konopiński i Jarosław Kukulski za utwór „Szła noc" otrzymali pierwszą nagrodę w konkursie na piosenkę wojskową.

✡ Tadeusz Baird obiecał napisać nową operę, której prapremiera ma się odbyć na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie.

✡ W Chicago i Detroit odbyły się w Muzeum Polskim uroczystości połączone z koncertami z okazji 160 rocznicy urodzin F. Chopina.

✡ Pierwszy z tegorocznych recitali w teatrze miejskim w Lozannie był w całości poświęcony utworom Chopina. Wykonawcą był pianista Nikita Magaloff.

✡ Ponieważ dostacje państwowe nie wystarczają na pokrycie najbardziej podstawowych wydatków, złożyłem dymisję — oświadczył dyrektor opery w Rzymie, Mennio Palmitessa.

Film

✡ Zaledwie wszedł na ekrany film „Sól ziemi czarnej", dramat historyczny z okresu powstań śląskich, jego reżyser Kazimierz Kutz zabrał się do następnego, którego tematem będzie bunt górników przeciwko zalaniu ich kopalni przez właścicieli.

✡ W Armenii grupa filmowców przygotowuje przeniesienie na ekran kilku dzieł Owanesa Tumaniana, zmarłego przed 50 laty wybitnego armeńskiego poety i powieściopisarza.

✡ Chyba mało aktorów w wieku 26 lat zdobyłoby się na odrzucenie propozycji zagrania głównej roli. Zrobił to Amerykanin Peter Yates, który już kilka razy grał drugorzędne role oficerów hitlerowskich. Teraz także miał być hitlerowcem, ale w roli głównej. Nie chcę być nadal w konflikcie z samym sobą — wyjaśnił.

✡ Shirley MacLaine składała wyjaśnienia przed komisją Izby Reprezentantów na temat pomocy państwa w dziedzinie kultury. Aktorka stwierdziła, że ta pomoc jest minimalna, zwłaszcza gdy chodzi o pomoc osobistą dla aktorów.

✡ Alain Delon z zaskoczeniem przyjął wiadomość, że jego własna matka Edith Boulogne pisze pamiętniki, w których główną osobą jest on sam.

✡ „Time", zamieszczając na pierwszej stronie dużą fotografię Raquel Welch, dał taki podpis: symbol typu sex w świecie, w którym sex pozbył się ostatnich tajemnic. Jeden z czytelników odpisał na to: uwierzę, jeżeli w kąpielówkach mini przespaceruje całe Pola Elizejskie.

✡ Gina Lollobrigida kupiła sobie trzy futra z prawdziwych lwów, co wywołało generalny sprzeciw kilku towarzystw ochrony zwierząt. Gina odpowiedziała: gdy zamówiłam futra, lwy już nie żyły.

Różne

✡ Przy Uniwersytecie Śląskim w Katowicach organizuje się studium kulturalno-oświatowe, które kształcić będzie wykwalifikowanych pracowników dla ośrodków upowszechniania wiedzy i kultury. Przyjmowani będą tylko posiadacze dyplomów magisterskich oraz studenci od piątego semestru.

✡ Przy bardzo dużym zainteresowaniu odbył się w Białymstoku II Ogólnopolski Festiwal Muzyki i Poezji, który trwał 8 dni.

✡ W Rzymie podpisano polsko-włoską umowę o współpracy artystycznej i naukowej.

✡ Ok. 800 wydawnictw i organizacji wydawniczych z 17 krajów bierze udział w międzynarodowych targach książki w Lipsku. Poczesne miejsce zajmują dzieła Lenina.

✡ Po 20 latach (z pięcioletnią przerwą) pełnienie obowiązków redaktora naczelnego czasopisma radzieckiego „Nowy Mir". Aleksander Twardowski złożył rezygnację, która została przyjęta.

Ta młoda Szwajcarka — Urszula Susse — zaczyna wyrastać na pierwszą gwiazdę w tym kraju. Podobno jednak ma na stele wyjechać do Włoch, gdzie — jak twierdzi plotka — będzie miała więcej okazji do pokazywania się w takim stroju, niż w nieco purytańskim kraju rodzinnym.

Srebrny jubileusz „Sztandaru Ludu"

NO i ćwierć wieku przeleciało. 13 marca 1970 roku „Sztandar Ludu", organ Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Lublinie, obchodzi swoje 25-lecie. Jest to święto całej lubelskiej organizacji partyjnej, całego społeczeństwa naszego województwa. Miarą wagi, jaką KW PZPR przywiązuje do swego organu, jest fakt, że na czele Komitetu Organizacyjnego obchodów stanął sekretarz KW, Edward Machocki, a na czele poszczególnych komisji — kierownicy bądź zastępcy kierowników poszczególnych wydziałów Komitetu Wojewódzkiego. Można więc powiedzieć, że jubileusz urządza nie sama gazeta, ale instancja partyjna. I słusznie: gazeta jest przecież codzienną transmisją partii do społeczeństwa. Od tego, jak wywiązuje się ze swoich zadań, w dużej mierze zależy realizacja uchwał i zaleceń, realizacja programu partii na Ziemi Lubelskiej.

Przeglądam pierwszy pożółkły numer, wydany przed 25 laty. Krótki artykuł wstępny głosi:

„Sztandar Ludu", którego pierwszy numer dziś wypuszczamy, jest organem Polskiej Partii Robotniczej, tej partii, która wyszła z ludu i prowadziła ten lud przez walki i trudy w ciemną noc niewoli hitlerowskiej ku zwycięstwu, zawsze wierna jego interesom.

Temu celowi też służyć będzie nasza gazeta.

Towarzysze! Robotnicy i chłopi!

„Sztandar Ludu" to wasza gazeta. Chcemy, byście nie tylko ją czytali, nie tylko by wspierała ona was w waszych codziennych zmaganiach o odbudowę Polski silnej i demokratycznej.

Ale chcemy też, byście do gazety naszej pisali, by ona była wyrazicielem waszych trosk i nadziei, waszych bolączek i walk.

Chcemy, by była ona trybuną Lubelszczyzny, z której każdy uczciwy robotnik, chłop i inteligent mógłby głosić prawdę, prawdę ludu.

Chcemy, by gazeta nasza rzeczywiście stała się sztandarem walki ludu o Polskę niepodległą, silną i demokratyczną.

— Ten program — mówi obecny redaktor naczelny „Sztandaru Ludu", Marian Wawrzycki — i dzisiaj jest w pełni aktualny. Wzbogaciliśmy go praktycznie o doświadczenia naszej partii, doświadczenia gazety, jak i samych ludzi, długoletnich pracowników naszego dziennika.

Pierwszy numer „Sztandaru Ludu" ukazał się w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy. Obecny średni nakład wynosi 145 tys., z tym, że wydania sobotnio-niedzielnego — prawie 200 tys. egzemplarzy. Pismo stało się więc rzeczywiście masowe, chociaż — gdyby nie ograniczenia papierowe — nakład mógłby być jeszcze wyższy.

Z tym ograniczeniami redakcja radzi sobie dzięki mutacjom. Jest to na pewno nie najlepsze wyjście z sytuacji (wydanie lubelskie, miejskie, ma stosunkowo mało informacji z województwa), ale wyjście jedyne. Zmiana ostatniej strony powoduje, że czytelnik z Zamościa, Łukowa czy Puław zawsze znajdzie w gazecie wiadomości, dotyczące jego terenu.

„Sztandar Ludu" ma dzisiaj sześć wydań. Poza lubelskim — miejskim wydania: łukowskie (dla powiatów: łukowskiego, bialskiego, radzyńskiego i parczewskiego), puławskie (dla powiatów: puławskiego i opolskiego), lubelskie (dla powiatów: lubelskiego, bychawskiego, bełżyckiego i lubartowskiego), zamojskie (dla powiatów: zamojskiego, biłgorajskiego, kraśnickiego i tomaszowskiego) oraz chełmskie (dla powiatów: chełmskiego, hrubieszowskiego i włodawskiego). W każdym terenowym oddziale pracuje po dwóch dziennikarzy. Niezależnie od tego w poszczególnych powiatach działa aktyw pozaredakcyjny, który dostarcza na ostatnią stronę aktualnych wiadomości.

Red. Marian Wawrzycki przypomina niektóre akcje, którymi w przeszłości zajmowała się gazeta. Duży nacisk kładzie na udział pisma w realizacji hasła rzuconego przez I sekretarza KW PZPR, Władysława Kozdrę — „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej", a także — w popieraniu wszelkich twórczych inicjatyw terenu.

O popularności, wzroście zaufania społeczeństwa do pisma, świadczy stały wzrost listów do redakcji. Niektóre spośród nich ukazują się na łamach, niektóre stanowią inspirację dla dziennikarzy, którzy idąc tropem sygnałów czytelniczych zdobywają wartościowe materiały publicystyczne, niektóre zaś dotyczące drobnych, ale dla nadawcy ważnych spraw, służą jako podstawa do interwencji.

25-lecie pisma stało się okazją do opracowania przez Kolegium Redakcyjne bogatego planu przedsięwzięć redakcyjnych i akcji społecznych gazety. *Redakcja — niezależnie od normalnego serwisu publicystyki własnej — przygotuje i opublikuje* — czytamy w tym programie — *serię artykułów publicystycznych i reportaży oświetlających węzłowe problemy rozwoju Lubelszczyzny, ukazujących perspektywy i możliwości postępu oraz atakujących organizacyjno-strukturalne, ekonomiczne, światopoglądowe, obyczajowe itp. źródła trudności, niedomagań i opóźnień rozwojowych (zarówno w ujęciu globalnym, jak i ujęciu cząstkowym, konfrontując interes ogólnospołeczny z interesami jednostkowymi oraz odchylenia na plus i minus od podstaw społecznie pożądanych).*

Interesujący nas najbardziej dział kultury, oświaty i nauki zawiera takie tematy, jak: „Adaptacja pleśni", „Nauka, naukowcy — wartości sprawdzalne", „Złudzenia i pozory" oraz „Teatr im. J. Osterwy — problem otwarty".

„Adaptacja pleśni" — to cykl artykułów ukazujących rozwój lubelskiego ośrodka naukowego, atakujących anachronizmy w funkcjonowaniu wyższych uczelni, zaś „Nauka, naukowcy — wartości sprawdzalne" — cykl mający na celu przedstawienie problemu weryfikacji prac badawczych na wyższych uczelniach na zasadzie oceny ich wartości poznawczych i przydatności do zaspokojenia potrzeb rozwojowych społeczeństwa.

Natomiast w cyklu „Złudzenia i pozory" redakcja ma zamiar zająć się zagadnieniami dotyczącymi treści kultury duchowej społeczeństwa, metod ich upowszechniania, modelem człowieka kulturalnego, zabawą w działalność kulturalną z pozycji XIX-wiecznych w niektórych środowiskach twórczych.

Zaciekawia inicjatywa, jaką zapowiada podjąć dział miejski gazety. Dział ten raz na dwa tygodnie po uzgodnieniu z Prezydium MRN ma podać do publicznej wiadomości wybrane zagadnienia z życia Lublina i zaprosić wszystkich niezadowolonych (ludzi posiadających krytyczne uwagi, co do aktualnego stanu i sposobów rozwiązywania tego zagadnienia) na spotkanie dyskusyjne z redakcją do klubu „Nora". W trakcie takiego spotkania z prawa głosu korzystać będą tylko czytelnicy i przedstawiciele redakcji. Nazajutrz po spotkaniu redakcja zamieści oceny, postulaty i wnioski uczestników zebrania, bez żadnego ze swej strony komentarza. Przedstawione materiały staną się przedmiotem analizy Prezydium MRN, które po upływie tygodnia przedstawi na łamach gazety swoje stanowisko, terminy realizacji wniosków uznanych za słuszne, nazwy instytucji oraz nazwiska osób odpowiedzialnych za ich realizację.

Plan przedsięwzięć redakcyjnych jest niezmiernie bogaty. Wymagać będzie dużego wysiłku całego zespołu. A ten zespół, w którym przeważają dziennikarze, mający po kilkanaście lat stażu w redakcji „Sztandaru Ludu", już nieraz w przeszłości udowodnił, że potrafi być bardzo ambitny.

W dniu jubileuszu „Sztandaru Ludu" składamy na ręce Kolegium Redakcyjnego w osobach: Mariana Wawrzyckiego, Włodzimierza Smutka, Józefa Porębskiego, Wiesławy Jankowskiej, Anny Radczak-Mańkowskiej, Jerzego Denisiuka i Bogumiła Mikulskiego a także na ręce całego Zespołu najserdeczniejsze życzenia pomyślności w pracy i w życiu osobistym.

Uważamy, że w następnym ćwierćwieczu „Sztandar Ludu" i „Kamena" mogą zacieśnić wzajemne kontakty poprzez wspólne podejmowanie problematyki społeczno - kulturalnej, zjednoczenie wysiłków, mających za cel dobro całego województwa i jego mieszkańców. Ale to już temat do osobnych rozważań.

Publikacje dokumentalne o Jesieninie

G. Tierechowa omawia na łamach „Sowietskiej Kultury" książkę „Siergiej Jesienin — kronika literacka", której pierwszy tom ukazał się ostatnio na półkach księgarń w ZSRR. Pojawił się i natychmiast został rozprzedany. Publikacja obejmuje korespondencję poety, dokumenty oraz relacje osób, które się z nim zetknęły.

— Jesienin zupełnie nie troszczył się o swych przyszłych biografów — pisze autorka recenzji — na autografach jego wierszy, a także na listach nie ma nie tylko znaków przestankowych, ale nawet dat. Nie zachowały się jego dzienniki, a w archiwum znajdują się tylko nieliczne dokumenty.

Losy jesieninowskiej spuścizny po 1925 r. były równie trudne i zmienne jak życie poety — stwierdza Tierechowa. — Materiały dotyczące jego osoby i twórczości, listy, autografy znajdują się w różnych archiwach i bibliotekach; wiele przechowują osoby prywatne. Odszukanie tych materiałów, zgromadzenie ich, zorientowanie się w pozbawionych dat listach i autografach, wreszcie sporządzenie pełnej bibliografii tego wszystkiego, co napisał Jesienin i co napisano o nim — było pracą titaniczną.

Praca taka została wykonana. Jak informuje autorka recenzji — podjął się tego bynajmniej nie specjalista a „amator", miłośnik twórczości Jesienina, Władimir Biełusow, inżynier pracujący w Ministerstwie Przemysłu Węglowego ZSRR. Jego trud uwieńczyła omawiana dwutomowa „Kronika", wydana nakładem „Sowietskiej Rossiji". Zebrany w książce materiał jest niezwykle bogaty. Po raz pierwszy czytelnik dowiaduje się z niej o czasie i miejscu powstania większości utworów Jesienina. Po raz pierwszy też opublikowano w niej nie znane listy i wiersze poety.

„Kalendarz Ukraiński"

UKAZAŁ się kolejny rocznik „Kalendarza Ukraińskiego", wydawanego w Warszawie przez Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Ma on charakter almanachu, w którym umieszczane są materiały dotyczące życia kulturalnego Ukraińców w PRL, propagujące kulturę tak ukraińską jak i polską, ze szczególnym uwzględnieniem wzajemnych stosunków tych dwu narodów w przeszłości i obecnie. Warszawski „Kalendarz Ukraiński", ukazujący się od szeregu lat, jest na coraz lepszym poziomie, zawiera coraz bogatszą treść. Jego poczytność wciąż się zwiększa poza granicami Polski, a czytany jest chętnie także na Ukrainie Radzieckiej.

Kalendarz na rok 1970 ma kilka działów.

I — Na drodze Lenina: materiały i dokumenty dotyczące stosunku Lenina do sprawy polskiej i ukraińskiej.

II — 25 lat od wyzwolenia: szereg artykułów oraz informacji podsumowuje sprawy życia i pracy ludności ukraińskiej w województwach olsztyńskim, szczecińskim, wrocławskim i na Żuławach.

III — Ukraińska kultura na terenie PRL: artykuły dotyczące języka ukraińskiego w Polsce (szkolnictwo, rozwój języka ukraińskiego, jego kontakt z polskim itp.), życia artystycznego Ukraińców, a więc o festiwalu pieśni ukraińskiej w Koszalinie w r. 1969 (trzeci z kolei), o kilku zespołach artystycznych, mających już pewien dorobek w dziedzinie popularyzacji pieśni i muzyki ukraińskiej. Jest artykuł o poecie ludowym piszącym gwarą łemkowską, Jakubie Dudrze, o ukrainikach w Bibliotece Publicznej im. Łopacińskiego, o eksponatach pochodzenia ukraińskiego w Muzeum Śląskim we Wrocławiu.

IV — Zdarzenia historyczne: materiały dotyczące głównie zdarzeń z okresu kozaczyzny i sytuacji bezpośrednio po I wojnie światowej. Stanowią one interesujące przyczynki do historii politycznych stosunków polsko-ukraińskich. Drukowane są tu artykuły nie tylko po ukraińsku, ale także po polsku (M. Sadzewicz, Z. Iżykowski).

V — Ukraińcy za granicą: przedstawione są tu ciekawe fakty z życia grup Ukraińców poza granicami Ukrainy (np. w Rumunii).

VI — Jubileusze: są to krótkie wzmianki o jubileuszach sławnych Ukraińców. Ale nie tylko. Osobne artykuliki poświęcono takim Polakom, jak M. Konopnicka, E. Orzeszkowa, A. J. Rolle, A. Marcinkowski, W. Orkan, podkreślają ich kontakty z Ukrainą i kulturą ukraińską.

VII — Ze źródeł archiwalnych — rubryka ta przynosi nowe fakty dotyczące wyborów do drugiego sejmu polskiego w roku 1928, o klasztorze Sołoweckim, gdzie w okresie władzy carskiej mieściło się ostre więzienie itp.

VIII — Twórczość literacka: obejmuje przekłady na język polski takich współczesnych pisarzy ukraińskich, jak W. Korotycz, W. Pidpałyj, I. Atamaniuk, J. Szczerbak, W. Hołobordko, I. Kałynec, oraz jednej dumy ukraińskiej. Są tu też oryginalne próby literackie pisarzy ukraińskich mieszkających w Polsce, jak O. Łapski, A. Werba, H. Bojczuk, I. Hrebinczyszyn i in.

Są jeszcze rubryki „Nauka i sztuka" oraz „Dla dzieci". Cenną jest bibliografia ostatnio wydanych prac polskich o tematyce ukraińskiej, a także ostatnich tłumaczeń literatury ukraińskiej na język polski.

„Kalendarz Ukraiński 1970" jest książką udaną pod każdym względem. To niewątpliwa zasługa doświadczonego już w tym względzie redaktora A. Serednickiego.

M. Ł.

Przed stuleciem urodzin Włodzimierza Lenina

Lenin o kulturze

Mirosława Zakrzewska-Dubasowa

PARTIA komunistyczna po zwycięstwie Rewolucji Październikowej przystąpiła niezwłocznie do rozstrzygnięcia złożonych problemów budownictwa kulturalnego. Było to możliwe dlatego, że na długo przed upadkiem dawnego ustroju główne zadania i drogi nowej kultury zostały wytyczone przez Włodzimierza Lenina. Jego prace dały początek i podwaliny planu rewolucji kulturalnej w Związku Radzieckim, rozwijającej się od pierwszych dni Wielkiego Października.

Kierownictwo II Międzynarodówki i inni rewizjoniści twierdzili, że bez osiągnięcia określonego „poziomu kultury" proletariat nie może i nie powinien brać władzy w swoje ręce i że Rosja pod względem kulturalnym jakoby nie dojrzała do socjalizmu. Przeciwstawiając się tym poglądom, Lenin podkreślał, że przede wszystkim należy obalić władzę kapitalistów i obszarników, a potem już na podstawach robotniczo-chłopskiej władzy i radzieckiego ustroju podźwignąć się i dogonić inne narody.

W artykule „O naszej rewolucji" Lenin udowadniał, że dokonać przewrotu kulturalnego w kraju można jedynie w warunkach dyktatury proletariatu. Stwierdził, że kapitalizm daje kulturę tylko niewielkiej mniejszości społeczeństwa. Natomiast, aby kultura stała się przywilejem mas, nieodzowna jest rewolucja socjalistyczna. Lenin rozumiał rewolucję kulturalną tylko w ten sposób, aby zlikwidować przepaść dzielącą naród od kultury przez podwyższenie poziomu wykształcenia robotniczo-chłopskich mas, odkryć szerokie horyzonty dla rozwoju talentów, wzbudzić u robotników zapał do samodzielnego tworzenia nowego społeczeństwa, wykształcić z nich świadomych bojowników o budowę socjalizmu i komunizmu.

Na III ogólnorosyjskim zjeździe rad Lenin stwierdził, że dawniej cały ludzki rozum tworzył tylko dlatego, żeby dać jednym wszystkie zdobycze techniki i kultury, a drugich pozbawić wszystkiego co najpotrzebniejsze — oświaty i rozwoju. Ale od zwycięstwa rewolucji wszystkie cuda techniki, wszystkie zdobycze kultury staną się wszechnarodowym dobrem. W jednej z rozmów z Klarą Zetkin Lenin w ten sposób sformułował zjawisko rewolucji kulturalnej w Rosji: *Czerwony październik otworzył szeroką drogę dla rewolucji kulturalnej, która opiera się na podstawach zaczynającej się rewolucji ekonomicznej w stałej współdziałalności z nią. Wyobraźcie sobie miliony mężczyzn i kobiet należących do różnych narodowości i ras, pozostających na różnych stopniach kultury. Wszyscy oni teraz dążą naprzód do nowego życia. Oprócz sowieckich organów i instytucji dla kulturalnego postępu istnieją liczne organizacje i stowarzyszenia uczonych, artystów i nauczycieli. Ogromna kulturalna praca jest wykonywana przez nasze związki zawodowe w przedsiębiorstwach, naszej kooperacji na wsi. Aktywność naszej partii przenika wszędzie. Robi się bardzo dużo, nasze postępy są wielkie w porównaniu z tym, co było, ale wydają się one bardzo małe w porównaniu z tym, co jest do zrobienia. Nasza kulturalna rewolucja dopiero się zaczęła.*

Szczególnie duże znaczenie dla rozwoju kultury radzieckiej, a również poprzez oddziaływanie na rozwój innych krajów, miały wprowadzane w życie poglądy Lenina na kulturę narodową. W artykule pt. „Kriticzeskije zamietki po nacjonalnomu woprosu" Lenin stwierdził, że kultura jako zjawisko międzynarodowe wyklucza się wzajemnie z pojęciem i istotą kultury jako przejawem nacjonalizmu politycznego. W *każdej narodowej kulturze* — pisał — *jeżeli jeszcze nie rozwinięte, ale są elementy demokratyczne i socjalistyczne, gdyż w każdym narodzie są ludzie pracy i wyzyskiwacze, ale jest także kultura burżuazyjna, przy czym nie tylko w postaci elementów, ale w postaci kultury panującej w tych krajach.*

Hasło kultury międzynarodowej, demokracji i światowego ruchu robotniczego oznacza, iż z każdej narodowej kultury należy brać te jej demokratyczne i socjalistyczne elementy, które są przeciwstawieniem kultury burżuazyjnej i burżuazyjnego nacjonalizmu każdego narodu. Leninowskie poglądy o dwóch kulturach nie odnosiły się tylko do Rosji. Lenin pisał: *Są dwa narody w każdym współczesnym narodzie — powiemy wszystkim nacjonalsocjałom, są dwie narodowe kultury w każdej narodowej kulturze. Jest wielkoruska kultura Puryszkiewiczów, Guczkowych i Struwe, ale jest także wielkoruska kultura, charakteryzująca się imionami Czernyszewskiego i Plechanowa. Są takież dwie kultury ukraińskie, jak i w Niemczech, Francji, Anglii itd.*

To stwierdzenie odegrało dużą rolę przede wszystkim w kształceniu nowego pokolenia. Podjęto walkę z nacjonalistycznym wychowywaniem młodzieży, które zatruwało ją jadem nienawiści wobec innych narodowości. W Rosji ten problem występował szczególnie ostro. W artykule Lenina pt. „Jeszcze o nacjonalizmie" czytamy, że *hasła nacjonalizmu są podtrzymywane przez wszystkie prawicowe partie i wszystkie oficjalne instytucje, głosi się je w każdej wiejskiej szkole, w każdych koszarach i w każdej cerkwi.*

Prowadząc walkę z burżuazyjnym nacjonalizmem, Lenin przestrzegał przed mieszaniem pojęć internacjonalizmu z kosmopolityzmem. Poczucie narodowej dumy, uczucie miłości do narodowego języka, do swojej ojczyzny powinno służyć sprawie oswobodzenia narodów Rosji od wszelkiego ucisku, niewolnictwa i poniżenia. Internacjonalizm i socjalistyczny patriotyzm nie wykluczają się wzajemnie a dopełniają. Z tych pojęć wynikają także zasady pojęcia kultury socjalistycznej. Podstawy prawidłowości jej rozwoju polegają na tym, że tylko opanowanie władzy przez klasę robotniczą i przejście w jej ręce środków materialnego i duchowego zarządzania stwarzają warunki urzeczywistnienia rewolucji kulturalnej.

Jednakże mówiąc o stworzeniu kultury socjalistycznej, przestrzegał Lenin przed nihilistycznym odnoszeniem się do dziedzictwa przeszłości, do osiągnięć nauki, techniki, sztuki, literatury itd., zdobytych w okresie rządów burżuazji. Wynikało to z głębokiego zrozumienia, iż rozwój kultury w różnych epokach u wszystkich narodów wnosi swój wkład w ogólnoludzką kulturę i wychodzi daleko poza narodowościowe ramy, a przeradza się w zjawisko ogólnoświatowe. W pracach Lenina czerwoną nicią przewija się myśl, że socjalistyczna kultura wyrasta na bazie krytycznego wykorzystania osiągnięć przeszłości. W ten sposób w warunkach dyktatury proletariatu masy ludowe zaczęły tworzyć nową kulturę — kulturę komunistyczną. Lenin pisał: *Trzeba wziąć całą naukę, technikę, sztukę, bez tego nie możemy zbudować życia komunistycznego społeczeństwa.*

O konieczności wykorzystania i krytycznego przyswojenia burżuazyjnej kultury w interesach proletariackiej rewolucji Lenin mówił w wystąpieniu na VIII Zjeździe partii, podkreślając trudności tego zadania, polegającego na połączeniu proletariackiej rewolucji z opanowaniem burżuazyjnej kultury, nauki, techniki. Również wskazywał na niebezpieczeństwa, jakie powstawały na skutek działalności tzw. „Proletkulturowców", którzy pod pozorami „proletariackiej kultury" rozpowszechniali poglądy burżuazyjne, odrzucając kierowniczą rolę partii i państwa radzieckiego w budownictwie kulturalnym, oddzielając rozwój kultury od ogólnych zadań budownictwa socjalistycznego. Przemawiając na zjeździe III Komsomołu, Lenin określił to w ten sposób: kultura proletariacka *nie wyskoczyła nie wiadomo skąd, nie jest wymysłem ludzi, którzy nazywają siebie specjalistami od „proletariackiej kultury". Proletariacka kultura jest prawidłowym rozwojem tych zasobów wiedzy, które wypracowała ludzkość pod uciskiem kapitalistycznym, obszarniczym i urzędniczym.*

Proletkulturowcy odrzucali wszelkie obiektywne znaczenie dziedziczenia kultury. Głosili oni, iż kultura stworzona w okresie kapitalizmu jest burżuazyjnym gratem i wzywali do stworzenia nowej proletariackiej *tak skazat' na czystom miestie.*

Twierdzili, że takie zadanie może być powierzone wyłącznie siłom samego proletariatu. Lenin określał to jako sekciarstwo, twierdząc, że nowej kultury nie można osiągnąć w oderwaniu od życia, w warunkach cieplarnianych, bez współdziałania ideowego kierownictwa partii komunistycznej. Kiedy Proletkult żądał autonomii, niezależności od państwowych władz, Łunaczarski i niektórzy inni działacze szli na ustępstwa. Lenin bardzo ostro to krytykował. Uważał, iż stanowi to część walki o socjalizm, a zatem musi być prowadzone pod kierownictwem partii. Zdecydowanie krytycznie oceniał próby proletkulturowców zmierzające do stworzenia „swojej oddzielnej kultury". Wskazywał on, iż marksizm zdobył swoje ogólnoświatowe znaczenie dlatego, że nie odrzucił dziedzictwa poprzednich epok, że przyswoił i przepracował to wszystko, co było cenne i wartościowe w wielowiekowym rozwoju myśli ludzkiej. Stosownie także, iż klasie robotniczej potrzebne są nie wymysły nowej proletkultury, ale rozwój najlepszych tradycji, osiągnięć istniejącej kultury.

Walka, jaką prowadził Lenin z proletkulturowcami, zasługuje na podkreślenie z tego względu, iż miała ona olbrzymie znaczenie dla budowy socjalistycznej kultury i oświaty. Leninowska nauka o kulturze socjalistycznej w treści i w narodowym kształcie była i pozostaje kamieniem węgielnym budownictwa kulturalnego w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowych.

To krótkie spojrzenie na poglądy Lenina i program działania na drodze do osiągnięcia rewolucji kulturalnej pozwala lepiej wniknąć w istotę i treść aktów prawnych, stanowiących podstawy działalności w rewolucji kulturalnej, dokonanej w Związku Radzieckim.

Należy je określić, jak się wydaje, jako dekrety leninowskie, gdyż zrodziły się one z jego twórczej myśli. Przytoczę tu kilka takich, które stały się prawnymi ramami wielkiego dzieła, jakim był rozkwit kultury radzieckiej. Realizując zasady wyrażane niejednokrotnie przez Lenina, należało zabezpieczyć dziedzictwo kulturalne. Zostały więc wydane dekrety w celu ochrony bibliotek i muzeów. W dniu 2 czerwca 1918 roku Lenin podpisał dekret o nacjonalizacji Galerii Tretiakowskiej. Na tej podstawie Galeria Tretiakowska i jej zbiory zostały uznane za instytucję spełniającą funkcje ogólnonarodową i oświatową. Również zabezpieczono biblioteki i ich zbiory. Uchwała z dnia 17 lipca tegoż roku postanawiała, że biblioteki wszelkich instytucji, towarzystw, urzędów i osób mają stanowić ogólnopaństwową sieć biblioteczną, podlegającą Wydziałowi Bibliotek w Komisariacie Ludowym Oświaty. Dekret z 19 września 1918 roku zakazywał wywożenia za granicę przedmiotów sztuki.

Powstało też specjalne kolegium ochrony pomników sztuki i zabytków. Największe znaczenie miał, jak się wydaje, dekret Sownarkomu z 3 grudnia 1918 roku o ochronie skarbów nauki. Rada Komisarzy Ludowych poleciła Oddziałowi Nauki Komisariatu podjąć wszelkie starania w celu zabezpieczenia naukowych muzeów, kolekcji, gabinetów, laboratoriów, urządzeń, instalacji itp.

Te dekrety, wydane jeszcze w ogniu walki z kontrrewolucją, świadczą o niezwykle przezornej organizacji i ostrożności Lenina, który zdawał sobie sprawę z nieodwracalności szkód powstałych w wyniku braku natychmiastowego i radykalnego zabezpieczenia dóbr narodowych. Jednocześnie zostały wprowadzone w życie zarządzenia zupełnie nie znane przed rewolucją: zorganizowanie ośrodków likwidacji analfabetyzmu, szkoły dla początkujących, czytelnie wiejskie, uniwersytety robotnicze, wyższe uczelnie komunistyczne, szkoły partyjne czy domy kultury socjalistycznej.

Unikalny egzemplarz „Głosu więźnia"

Al. Leszek Gzella

Strona tytułowa „Głosu".

WIADOMO, jak trudno dziś zdobyć egzemplarze gazet wychodzących w Lublinie zaraz po wojnie, w okresie tzw. Polski PKWN. Dziesiątki tytułów, małe nakłady, a w bibliotekach i zakładach naukowych brak kompletów. Jeszcze większe bariery trudności ma do przezwyciężenia badacz przy okresu okupacji hitlerowskiej. Pisma konspiracyjne ukazywały się w stosunkowo niedużym nakładzie, przeważnie nie przekraczającym tysiąca egzemplarzy, a grożące za ich przechowywanie lub czytanie surowe kary sprawiały, że po zapoznaniu się z treścią pisma niszczono lub przekazywano znajomym. Los gazety konspiracyjnej był zawsze jednaki: przeczytać i zniszczyć. Do naszych czasów z tej powodzi setek konspiracyjnych gazetek zachowały się zaledwie niektóre tytuły, poszczególne numery, czy wręcz unikalne egzemplarze.

W tym kontekście ostatni nabytek Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie ma wyjątkową wartość i znaczenie. Jest nim egzemplarz pisma konspiracyjnego wychodzącego przed wojną w więzieniu na Zamku Lubelskim. Jego tytuł: „Głos więźnia antyfaszysty". Było to pismo redagowane przez lubelskich komunistów, więzionych przez władze sanacyjne w latach 1936—1937.

Przeglądam egzemplarz „Głosu" znajdujący się obecnie w zbiorach biblioteki. Kieszonkowy format 10,5 cm × 17,3 cm, pismo wyraźne, atrament niebieski, kartki grube, białe. Z okładkami — 72 stron. Karta tytułowa poza tytułem i podtytułem (Organ Komunistów Lublina) zawiera datę (25 stycznia 1937 r.), kolejny numer gazety (nr 1/8) oraz trzy hasła, którym treść pisma jest głównie poświęcona: Lenin, Luksemburg, Liebknecht. Rysunek satyryczny na ostatniej stronie pisma nawiązuje do rządowej akcji pomocy zimowej oraz do sytuacji wewnętrzpolitycznej kraju, co miało swój specyficzny wyraz w walkach z chłopami Zamojszczyzny, więzieniu komunistów i działaczy proletariackich itp. Wieża lubelskiego Zamku na stronie 1 niejako symbolicznie lokalizowała gwałt i ucisk władzy sanacyjnej wobec patriotów i działaczy lewicowych.

Treść pisma poświęcona jest przede wszystkim Leninowi. Przypadała akurat 13 rocznica jego śmierci. Z tej też okazji zamieszczono żarliwy w wymowie wiersz autorki podpisującej się inicjałami „Tow-ka Z-N". Artykuł wstępny zatytułowany „I. L. nam przykładem" nawiązuje do trzech nazwisk działaczy komunistycznych, wymienionych na karcie tytułowej: Lenin, Luksemburg, Liebknecht. Postępująca faszyzacja Hiszpanii wywoływała fale protestów. Z hiszpańskim ludem, walczącym z rodzimym faszyzmem, solidaryzowały się siły postępowe na całym świecie. Swoją solidarność zadeklarowała również lubelska komuna więzienna w materiałach, zamieszczonych w „Głosie". Ponadto są materiały informacyjne o uchwałach CKW PPS, o nowej konstytucji Związku Radzieckiego, o posunięciach w ugrupowaniu Stańczyka i inne.

Zupełnie przypadkowo udało się odnaleźć osobę, która była w owym czasie więźniem politycznym Zamku i współredagowała „Głos". Redaktorem technicznym pisma był Edward Nadulski, (obecnie prezes lubelskiego oddziału ZPAP) więziony w latach 1936—1938. Od niego też otrzymałem informacje dotyczące konspiracyjnego pisma, sposobu jego wydawania i kolportowania. Redaktorem naczelnym „Głosu" był starosta komuny więziennej Sielberstein, a kolegium stanowili m. in.: Szymon Sztajnbek, Michał Wjum, Fred (?) Pazyna, Mandelbaum (projekt okładki) i Edward Nadulski (strona techniczna). Materiały zbierano od wszystkich chętnych, następnie kwalifikowano je do druku i w ostatniej fazie przepisywano na kradzionych i organizowanych kartkach papieru. Funkcję organizatora materiałów piśmiennych i przepisywacza powierzono Edwardowi Nadulskiemu.

Kiedy dziś odczytujemy artykuły, przepisywane ręcznie w dwuszpaltowych kolumnach, trudno nie podziwiać iście benedyktyńskiej roboty przepisywacza. Praca trwała — jak podaje E. Nadulski — prawie dwa miesiące. Numer, który znajduje się w bibliotece, był przepisywany przez grudzień i prawie cały styczeń.

Nie trzeba dodawać, że proces tworzenia numeru gazety odbywał się w pełnej konspiracji całej celi. W różnych jej punktach porobiono schowki, niewidoczne dla oka wścibskich strażników. Gazeta była przeważnie chowana w wydrążonej w murze dziurze, którą zaklejało się rozrobionym chlebem z ziarenkami tynku. Gotowy egzemplarz pisma czytano w celach od deski do deski. Następnie organizowano dyskusje, które trwały wiele godzin i były prowadzone żarliwie, nieraz burzliwie. Przeczytany egzemplarz podawano najczęściej w czasie spacerów więźniom innych cel. Uwagi odnośnie pisma zbierano i przekazywano kolegium redakcyjnemu, które ustosunkowywało się niezwykle sumiennie do każdej zgłoszonej pretensji, krytyki czy głosu pochwały. Ambicją redakcji było docieranie również do więźniów niepolitycznych, a odsiadujących karę za tzw. opór władzy, a więc niepłacenie podatków itp.

Komuna więzienna na Zamku w Lublinie w latach 1936—1938 prowadziła akcję uświadamiającą i szkoleniową na szeroką skalę. W celach odbywały się lekcje w zakresie początkowych klas szkoły powszechnej, wygłaszano pogadanki i referaty, uczono się historii ruchu robotniczego, informowano o zdobyczach w Związku Radzieckim, podawano na zasadzie prasówki wiadomości aktualne ze świata, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji w Hiszpanii i Polsce. Do więźniów dochodziły też z zewnątrz grypsy z wiadomościami. Ze skromnych zapomóg, jakie otrzymywali m.in. od Stefanii Sempołowskiej, odkładano datki pieniężne, przeznaczone dla walczącego ludu Hiszpanii. O tym również informowano w „Głosie".

W owych latach życie polityczne w Polsce było bardzo żywe i pełne dość ostrych spięć. W samej komunie też nie brakowało sporów i polemik, czemu daje wyraz „Głos" w uwagach redakcyjnych. Z nich to dowiadujemy się, że numer 7 i 8 był redagowany przez nowy zespół, krytycznie oceniający poprzednie kolegium i jego linię działania. Redakcja podejmuje też polemikę z politycznymi poglądami redaktorów „drukujących" numery z marca i maja 1936 r. Zarzuca im fałszywą ocenę ogólnej sytuacji politycznej, sekciarski stosunek do frontu ludowego, zbytnie teoretyzowanie, co sprawiało, że pismo docierało tylko do elity komuny więziennej, brak pracy wychowawczej wśród współwięźniów (pojawiały się „niepoprawni sypacy"), zły stosunek do ogółu komuny.

W tej sytuacji redaktorzy „Głosu" nie mieli łatwego zadania. Poza tego rodzaju kłopotami w każdej chwili musieli się liczyć z możliwością rewizji, z odkryciem przez strażników dowodów świadczących o ich pracy konspiracyjnej. Edward Nadulski wspomina o masakrze więźniów, której strażnicy dopuścili się 29 lipca 1937 r. Ale zdarzało się i tak, że tajna działalność więźniów spotykała się z sympatią u strażnika. Jeden z nich, Pierścionek, za pomoc udzielaną więźniom, ostrzeganie ich przed grożącymi rewizjami, podawanie grypsów itp. został zwolniony z pracy.

Nie wyjaśnione są dotąd drogi, jakimi przewędrował unikalny numer „Głosu więźnia antyfaszysty" z lubelskiego Zamku do murów biblioteki im. H. Łopacińskiego. Przecież pismo było wydawane tylko w jednym egzemplarzu. Mogło się zdarzyć, że bardziej zużyty częstym czytaniem egzemplarz został przepisany powtórnie, ale wtedy prototypowy był niszczony. Jak to się stało, że ponad 33 lata więzienny „Głos" przechowywano? I gdzie? A może to cierpliwe i wiele tajemnic kryjące mury lubelskiego Zamku stanowiły przez lata niedostrzeżoną kryjówkę dla pisma? W każdym razie odnaleziony numer „Głosu" stanowi jeszcze jeden dowód aktywnej działalności komunistów polskich, więzionych w latach trzydziestych na Zamku. Dotychczas o ich pracy wychowawczej i politycznej w więzieniu wiedzieliśmy tylko na podstawie materiałów wspomnieniowych bądź z relacji ustnych. Dziś możemy konfrontować te wiadomości z dokumentem.

13 rocznica śmierci Lenina stała się okazją do zamieszczenia w piśmie więziennym wiersza i artykułu poświęconych wodzowi radzieckiej rewolucji.

Zdjęcia CAF

Lepienie dziadka

Leszek Więcko

Rys. E. Inglot

PAMIĘTAM go słabo. Szczawik byłem zupełny, gdy odszedł. Pod hasłem — dziadek — próżnia mi w pamięci urosła. Majaczenia, obrazy mgliste. A przecież chciałbym go na nowo w pamięci ulepić, chęć do tego lepienia mam dużą.

— Rafał to wykapany dziadek — tak o mnie mówią, a jeszcze niechęć w tych gadkach wyraźna cieszy mnie, zadziorną ciekawość budzi. Trochę ta ciekawość i z tego, że chciałbym życie swoje do tyłu przedłużyć, tak jakby korzenie rodziny odkopać. To za biblią — Abraham zrodził Izaaka — u mnie tylko kilka ogniw łańcucha, zawsze już jednak jakaś długość, żeby sprawy rodzinne widzieć wyraźniej.

W tym lepieniu — opowiadania matki pomocne. Wieczorami często oplata rodzinne historyjki. Słucham uważnie, nie drzemię, od czasu do czasu słówko jakie bąknę. Matka w pamięć już dobrze słaba, często do tych samych spraw wraca, tych, które dziadka dotyczą, mógłbym w kółko słuchać.

Za życia dziadek się matce nie wydawał ciekawy. Były między nimi długie urazy, sam jeszcze pamiętam niechęć, z jaką się matka do swego ojca odnosiła. W miarę jak postać dziadka szarzeje w pamięci wszystkich, matka zapomina o swej niechęci i ona już chyba jedna lubi często we wspominkach do dziadka wracać.

Ten mój dziadek w życiu swoim długim był cukiernikiem, właścicielem wesołego miasteczka, a nawet przez parę miesięcy — strażnikiem w więzieniu miejskim. Takim prawdziwym jednak, wyuczonym jego zawodem była tapicerka i nią się przez większą część życia parał. Miał — tuż przed drugą światową — warsztat i czeladników, powodziło mu się niezle. Po wojnie, że to stary, warsztat mu, narzędzia licho wzięło, zajmował się drobnymi naprawami.

Matka, żeby zilustrować dziadkowe dobre czasy, opowiada o dwóch służących, co w domu pomagały. Najważniejsza jednak dla niej kradzież sygnetu, który dziadek w warsztacie na gwoździu wieszał. Matka — w miarę jak się starzeje — pokazuje między palcami coraz większą grubość tego sygnetu. — Ze szczerego był złota — syczy. — Nie takie tam złoto jak dzisiaj, to i porównywać nie można. — Czeladnik taki rudy był, z odstającymi uszami... — Do dzisiaj go matka rudą cholerą nazywa, a przecież gdy kradzież się przydarzyła, nikomu nic nie udowodniono, a czeladnik ten jeszcze z rok u dziadka pracował.

— I żarłok już wtedy był — mówi matka. — Pamiętam, kiedyś babcia wyszła do sąsiadki, dziadek gotujące się na płycie poziomki wypatrzył — taki już zwyczaj miał po garnkach łazić — chleba sobie nakroił, wszystko wyjadł. Albo te jego śniadania, sam je niby sobie szykował, ale patrzeć po prostu nie było można. Przynosił ze sklepiku żydowskiego cały stos placków, czerstwych cebulaków, do tego sera kawał ogromny, chyba z kilogram, i herbatę z samowara żłopał, aż dziw, gdzie to się w nim mieściło.

Wiodło mu się źle, dla babki robił się obcy, nic od niej nie chciał, chodził wykocmołuchany, zarośnięty. W domu go czasem kilka dni nie było. Wódki jednak nie pił. Toteż i przyjaciół nie miał. Sam był w tej częstej biedzie, bo koledzy wtedy znikali. Gdy mu się w tapicerce wiodło, wielu się do niego przyznawało, ale on i wtedy małomówny, najwyżej do domu hołoty naspraszał. Babka, bywa, schabowych nasmaży, sałaty z jajami i śmietaną przyrządzi, a ten z tą swoją bandą się zwali, z półmiska żrą, nie dziw, że babkę szlag trafiał. A on jeszcze i sam porywczy. Kiedy to zarabiał dobrze, babka nową dziewczynę do pomocy zgodziła. Ta mu talerz rosołu do pokoju przyniosła... Jak dzikus jaki talerz na podłogę rzucił, za pełno mu było nalane. Dziewczyna się spłakała, co go to jednak obchodziło, mruk był i nerwus.

Może i przez córkę te nerwy. Matka wtedy w Warszawie była, wieści o niej chodziły nieróżowe. Podobno z oficerami się bawiła, widziano ją tu i ówdzie, roześmianą, w kolorowych szmatkach.

Dziadek ją jedną miał. Jak umiał, na dzieciaka chuchał. Ciastkami karmił. Babka o jej ubranie dbała, jak mało kto. Dziewczynka chodziła jak laleczka, cała w kokardach, włosy czarne, warkocze aż na pośladki.

Matka w swoich gadkach często o te warszawskie czasy potrąca. Mówi, jak to kiedyś w dorożce jechała z poruczникiem, który bransoletkę jej złotą dawał, żenić się chciał... Porucznik podobno był pijany, matka już tego nie pamięta i ma kocie, błyszczące oczy, jak o tym swoim poruczniku...

Bardzo chciałbym, żeby żył ten dziadek. Mało go miałem. Pamięć tam jakąś mam, ale słaba to pamięć, zaledwie kilkuletniego brzdąca, małego stracha na wróble z wytrzeszczonymi oczami — tak mnie mistrz Wojciula wówczas widział, jego zdjęcie matka w szufladzie biurka trzyma.

Często wdrapywałem się wtedy na klon, którego gałęzie były nad dachem dziadczynej szopy — tam on swe narzędzia miał, w tych swoich sprężynach przewracał, trawę morską w materace upychał. Gdy mi już nogi drętwiały od tego wrogiego siedzenia, zeskakiwałem na dach szopy, parzyłem bose stopy o rozgrzaną przez słońce blachę, dudniłem tymi parzonymi stopami. Dziadek z szopy wychodził, prostował przygięte plecy, zasłaniał dłonią oczy od słońca. — Złaź — mówił. — No złaź, babka będzie krzyczała. — Ponieważ to była prośba, za nic bym z szopy nie zszedł, gdyby nie ostry głos babki zza otwartego lufcika. Trąc brzuchem o pień klonu zsuwałem się na dół.

Ten mój dziadek — jakim go z dziecinnych lat pamiętam — zawsze od ludzi stronił. Obiad trzeba mu było do szopy nosić. Wieczorem dopiero do domu przychodził, siorpał zupę, siadał przy stole z gazetą. Żarówka słaba była — dwudziestka piątka — tak że gazetę wysoko podnosił, ruszając powoli wargami wszystkie wiadomości wyczytywał. Nawet drobnym ogłoszeniom nie darował. Dzielić się jednak tym czytaniem nie chciał. Często babka pytała: — A co tam, Paweł, nowego piszą? — Ale nie do dziadka takie pytanie. Mruczał coś pod nosem, albo i wcale nie dawał po sobie znać, że się coś do niego mówiło.

Dziadek — mimo swego wieku — często do miasta chodził, jakieś reperacje miał. Wracając, wlókł z sobą różne gramoty. Były to rzeczy wyrzucone lub zapomniane przez kogoś — dziurawe, blaszane puszki, powyginane rury, czerwone od rdzy sprężyny. Taki już zwyczaj miał dziadek, pochylony iść, wzrokiem bystro omiatać chodnik czy płaszczystą ziemię uliczki, przy której mieszkał. Przykuwały jego uwagę nawet stare, odleciałe od butów żabki. Schylał się po nie powoli, czyścił z błota i piasku, kładł do kieszeni i szedł dalej, jak czapla tych swoich zdobyczy wypatrując.

Matka — choć już mieszkała osobno — zrzędziła, że dziadek taka oferma, że śmieci do domu nanosi... Brudas — tak mówiła — a i je dużo. A przecież sama go nie karmiła, babka o niego wszelkie staranie miała. To matki zrzędzenie nie do uniknięcia, z zapiekłej niechęci się brało. W święta tylko miękła, bo już taki katolicki obyczaj miękną, gdy ciastem świątecznym pachnie, opłatek czy jajko wielkanocne na stole.

Nie jednak, żeby dziadek z nami do tego świątecznego stołu. Tak dalece na macie święta nie działały, brzydziła się nim trochę i dziadek zawsze powtarzał: — Za daleko to mieszkam, nie dam rady tak daleko łazić. — Przynosiłem mu tylko z miski z bakaliami różności, ciastko, cukierki i pomarańczę najczęściej.

Jadł powoli, starannie przeżuwał drobne kęsy, wyjmował z ust pestki pomarańczy. — Zasadzić by to — mówił — babka tyle doniczek ma... Ale czy to co z tego wyrośnie? Zimno u nas. — I tyle tego mówienia. Znowu się w swoje milczenie otulał.

Jeszcze mu „Przekrój" świąteczny podsuwałem. Brał go ostrożnie, na kolorowe ryciny patrzył, widać było jak mu się oczy dziwiły. Bo jego gazety szare, czcionki miały małe, mimo dobrego wzroku dziadka zawsze trochę kłopotliwe.

Gdy tak kartki przewracał, patrzyłem na jego palce, żółte, połamane paznokcie, wieloletnie, zrogowaciałe odciski. Wdychałem zapach tytoniu dziadkowego ubrania, aż zasypiałem.

Dziadek mnie wtedy delikatnie za ramię potrząsał. — Połóż się, Rafał, połóż — mówię, babka już dawno śpi.

Że dziadek pochylony coraz bardziej, twarz mu się jakby do środka zapada, nie widziałem. Zmiany te były nieuchwytne. Babka zawsze mówiła: — Ty masz zdrowie, Paweł, na pewno mnie pochowasz. — A przecież była od dziadka prawie o dziesięć lat młodsza.

Dziewięć lat miałem tej wiosny, gdy mnie matka do sanatorium wysłała. Wtedy do dziadka śmierć przyszła. Z relacji babki często ją sobie odtwarzam. Wierna to dość relacja, bo dla niej dziadek był jak stary mebel, nie zauważyło się jego, bo przecież zawsze pod ręką. Dopiero z czasem babka pojęła, że dziadek był jej koniecznie, jak malwy w ogródku, potrzebny.

W wigilię swej śmierci dziadek do późnego wieczora siedział przy gazecie. Światło żółte, czcionki jak mrówki i zaczerwienione lecz nad podziw dobre, stare oczy. Rano zaś przyszła śmierć. Słaba jakaś, a może dziadek miał tyle siły, dosyć, że walczył z nią długo. Zapienił się z nienawiści do niej, bełkotał jakieś niezrozumiałe przezwiska. A znalazł ją — ciągle mnie to jeszcze dziwi — pod łóżkiem.

Wstał rano i schylił się po kamasze. Długo grzebał rękami pod łóżkiem, tak długo, aż wreszcie babka spytała: — A czego ty, Paweł, nie wstajesz z tej podłogi? Złota tam szukasz, czy co? — Dziadek podniósł się. Czerwony od nabiegłej do głowy krwi, oparł się o poręcz łóżka i zaraz na nie upadł. Wymknął się ze zgrabiałych, wystraszonych rąk babki.

Leżał tak dziki i rozwrzeszczany z godzinę, babka bała się go samego z tą chorobą zostawić. Aż lokatorka z góry, choć z babką w nienawiści, zmiękła przecież, gdy zobaczyła w oknie jej przestraszone oczy, a szczególnie, gdy w tę drugą, siną twarz zajrzała. Za niecałe dwadzieścia minut przyjechała karetka i wytrzęsła z dziadka resztę oporu.

Pociągi powrotne

Andrzej Łuczeńczyk

WSZYSCY patrzyli teraz na żołnierza. Powiedzieli już sobie, gdzie i po co jadą, a żołnierz nie powiedział im o tym jeszcze nic. Czekali teraz na jego opowieść.

— Jadę do domu — powiedział żołnierz. — Wracam do domu.

— A skąd?

— Z wojny.

— Z wojny?

— Tak. Z wojny. Wracam do domu.

— A z jakiej wojny.

— Z tej.

— Z jakiej?

— Z tej, co była. Z tej ostatniej.

— Ale ona już dawno się skończyła! Dawno! Cztery lata temu!

— Tak.

— I dopiero teraz puścili do domu?

— Nie.

— A co?

— Nic. Jadę do domu już cztery lata.

— Ile?!

— Cztery lata. Jak tylko wojna się skończyła.

Zapytali go, gdzie mieszka. Powiedział.

— To źle!

— Dlaczego?

— Trzeba jechać w drugą stronę!

— Niekoniecznie. Wystarczy, że jadę.

— Ale źle! Trzeba zawrócić!

— Po co?

— Żeby dojechać tam, gdzie trzeba.

— Jadę.

— Ale nie tam!

— Jadę do domu.

— A żyją chociaż?

— Kto?

— No tam, w domu.

— Tak. Tamci byli tylko podobni do nich. Bo ja biłem się tam, gdzie mieszkam. Wyzwalaliśmy, znaczy. I była tam taka bitwa, że zginęło dużo nie tylko żołnierzy, ale i tych, co tam mieszkali. Ale moi nie. Kilkoro z tamtych zabitych było tylko tak bardzo podobnych do mojego ojca, mojej matki, mojej żony i mojego dziecka. Z początku myślałem, że to oni, ale potem zrozumiałem, że to tylko podobni do moich. Moi żyją.

Pociąg zwalniał. Żołnierz spojrzał przez okno, wstał i zdjął z półki wypełniony czymś do jednej trzeciej plecak. Zarzucił go na ramię.

— Wysiadam.

— Dlaczego?...

— Przesiądę się na inny pociąg. Zawsze się przesiadam. Przez cały czas.

LUBELSZCZYZNY dzień dzisiejszy

Turniej wiedzy o Leninie

Ponad trzy miesiące trwa w naszym województwie, podobnie jak w całym kraju, zakrojone na szeroką skalę działanie, mające na celu przybliżenie postaci Lenina, jego życia i działalności oraz dorobku w dziedzinie ideologicznej. Najbardziej masową imprezą służącą temu celowi jest konkurs pn. „Włodzimierz Iljicz Lenin". Wprawdzie sam konkurs znajduje się w tej chwili u progu zakończenia dopiero pierwszego etapu, ale najważniejsze prace organizacyjne i popularyzatorskie są już poza nami.

Zanim bowiem przystąpiono do eliminacji w gromadach, należało w możliwie najszerszym zakresie udostępnić społeczeństwu odpowiednią literaturę oraz zapoznać przyszłych uczestników z wielomą faktami z życia i działalności wielkiego wodza proletariatu w formie odczytów, pogadanek i dyskusji. Główną pracę w tym zakresie wykonywały biblioteki i ośrodki kulturalne gromadzkie i powiatowe pod kierunkiem Wojewódzkiego Domu Kultury oraz Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego przy wydatnej pomocy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Wśród organizatorów tej gigantycznej imprezy znajdują się także liczne instytucje i organizacje społeczne, takie jak np. Kuratorium Okręgu Szkolnego, WZGS, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, organizacje młodzieżowe itp. Głównym inicjatorem konkursu jest Muzeum Lenina w Warszawie.

Masowy udział w tej interesującej imprezie wysuwa Lubelszczyznę na jedno z czołowych miejsc w kraju. Zestaw pytań konkursowych obejmuje wiele faktów z życia i działalności przywódcy Rewolucji Październikowej zawartych w różnych publikacjach. Tak więc każdy uczestnik przed przystąpieniem do wstępnych eliminacji powinien opanować spory materiał. Pomocą w tym zakresie była olbrzymia akcja popularyzatorska, którą przeprowadzili działacze kulturalni. Powszechny udział (w niektórych gromadach zgłosiło się po 300 i więcej kandydatów) świadczy o poważnym wysiłku organizatorów.

Wśród powiatów, w których uzyskano najlepsze wyniki (według niepełnych danych) znajduje się powiat janowski, również bychawski, parczewski posiadają niemałe osiągnięcia. Warto przy tym dodać, że poziom konkursu jest bardzo wysoki, a przygotowanie uczestników — imponujące. Na przykład w Przewłóce (pow. parczewski) w eliminacjach gromadzkich trzeba było aż dwukrotnie przeprowadzać dogrywki, aby ustalić kolejność miejsc. W rezultacie w eliminacjach powiatowych Przewłokę reprezentować będą: Aleksander Aleksandrowicz i Ireneusz Iłładuzi. Nie mniej masowy przebieg konkursu obserwuje się wśród młodzieży szkolnej. Na podkreślenie zasługuje spora frekwencja na wszystkich imprezach związanych z konkursem. (J. L.)

Szkolenie polityczne

Obecnie w szkoleniu partyjnym, którym kieruje Woj. Ośrodek Propagandy Partyjnej przy KW PZPR, bierze udział ponad 133 tys. osób, z czego 73,5 tys. to mieszkańcy wsi. Wśród szkolących się przeważają kandydaci na członków jak również młodzi stażem członkowie partii. Ale nie tylko — jest ok. 20 tys. bezpartyjnych i 15 tys. członków organizacji młodzieżowych, ok. 5 tys. członków ZSL i kilkuset członków SD.

Główną formą jest trzyletnie szkolenie podstawowe. Obejmuje ono trzy cykle tematyczne: podstawy wiedzy o partii, podstawy wiedzy ekonomicznej i podstawy wiedzy społeczno-politycznej.

Szkolenie stopnia średniego zmieniało się w pewnych zakresach zależnie od aktualnych potrzeb. Od roku prowadzone jest ono w formie zespołów problemowych. Są cztery formy takich zespołów: dwie koncentrują uwagę na wnikliwym poznaniu rewolucyjnych tradycji PZPR, jedna jest poświęcona wybranym zagadnieniom leninizmu, a jedna wybranym zagadnieniom ekonomii i polityki gospodarczej PRL.

Wyższy szczebel stanowią grupy samokształceniowe, które obejmują ok. 18 tys. osób, oraz wieczorowe szkoły aktywu — jest ich 61, a studiuje w nich 2338 osób.

Najwyższą formę kształcenia partyjnego stanowi Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu. Lubelski WUML istnieje od lipca 1955 r. i wtedy posiadał tylko jeden wydział ogólny w Lublinie.

Obecnie WUML obejmuje 5 kierunków szkolenia. Są więc dwa wydziały: Ekonomiczny i Filozoficzno-Socjologiczny, w obu wypadkach studia trwają dwa lata. Obok nich trzy roczne studia: Polityki Gospodarczej PRL, Religioznawstwa i Spraw Międzynarodowych. W roku ub. powstały filie w Białej Podlaskiej, Biłgoraju i Łukowie, w poprzednich latach — w Chełmie, Kraśniku, Kraśniku Fabrycznym, Puławach, Radzyniu i Zamościu. Razem czynnych jest 20 wydziałów i studiów. (d)

Cenne tkaniny

W salonie wystawowym lubelskiego BWA czynna była w lutym wystawa tkaniny artystycznej Jolanty Owidzkiej, wybitnej przedstawicielki tej dziedziny sztuki, laureatki i uczestniczki rozlicznych wystaw krajowych i zagranicznych, której dzieła są bardzo wysoko cenione przez znawców. Pokazane tkaniny to właściwie obrazy malarskie, wykonane przy pomocy grubo zwijanej nici wełnianej, wąskich pasków skórzanych, a także nitek metalowych. Do takiej kwalifikacji skłaniają zasady budowy powierzchni owych dzieł, identyczne niemal z tymi, które rządzą malarską kompozycją abstrakcyjną. Najbardziej uderzającą ich cechą jest wyrafinowana kolorystyka, satysfakcjonująca najbardziej wybredne oko. Tkaniny Owidzkiej są szczególnie poszukiwane w krajach zachodnich; jeden metr kwadratowy kosztuje 7 tys. zł, a w strefie dolarowej — w odpowiednich relacjach — jeszcze drożej. (K)

Profesor Tutka

Nie wiem, czy tak wyobrażają sobie miłośnicy twórczości Jerzego Szaniawskiego postać Prof. Tutki, jak przedstawił ją Wacław Włodarczyk. W każdym razie inicjatywa jest interesująca i dobrze się stało, że w kilku lubelskich klubach gościliśmy bohatera Kabaretu Jednego Pana, który rozwija swoją działalność w Koszalinie.

Wacław Włodarczyk jest absolwentem 4-letniego studium dla reżyserów teatrów niezawodowych. Kilkakrotnie był laureatem konkursów: m. in. na Festiwalu Teatrów Małych Form we Wrocławiu w 1964 r. otrzymał nagrodę za wybitne osiągnięcia artystyczne, a wcześniej, w 1957 r., zdobył drugie miejsce na Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim. W 1967 r. na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Jednego Aktora wysoko oceniono jego inną pracę, przyznając mu II nagrodę „za intymność kultury i środków przekazu". Ta „inna praca" to drugi spektakl Kabaretu Jednego Pana: Opowieści biblijne — w oparciu o teksty proroków, komentarz encyklopedyczny Z. Kosidowskiego i własne impresje poetyckie. Wacław Włodarczyk jest również poetą: w 1963 r. w Wydawnictwie Poznańskim ukazał się zbiór jego wierszy pt. „Świat empirycznie".

„Opowieści biblijnych" w jego wykonaniu nie widzieliśmy w Lublinie, a szkoda. Z. Kosidowski po obejrzeniu spektaklu stwierdził, że „Kabaret Jednego Pana wydaje mi się w swojej koncepcji i wykonaniu impreza interesująca, oryginalną i pożyteczną społecznie".

Warto nadmienić, że Wacław Włodarczyk mieszka stale w Człuchowie, miasteczku koszalińskim, które — jak mówi — słynie nie tylko z pięknego położenia, ale i z tego, że przypada tu „najwięcej w Polsce taksówek na głowę". Ponieważ jednak we własnym mieście nikt nie był nigdy prorokiem, Wacław Włodarczyk chętnie jeździ po Polsce, szerząc kulturę słowa. Dobrze, że nie ominął i Lublina. Myślimy, że tu jeszcze nieraz powróci. (x)

Kamena str. 4

Z rzeczywistości i na oko

Maciej Podgórski

POSTANOWIONO zmarnować 707 tys. polskich państwowych złotych. Czyżby szło o planowany napad na Narodowy Bank Polski? Bynajmniej. Chodziło o... sprawozdania. Centralny Związek pewnego rodzaju spółdzielczości „nadał" w teren do swoich jednostek gigantyczną robotę sprawozdawczą, niezgodną z przepisami Głównego Urzędu Statystycznego, ani nawet nie uzgodnioną z tym Urzędem, zatem niepotrzebną, a w każdym razie nielegalną. Na Lubelszczyźnie 104 spółdzielnie, podległe temu Związkowi, miały pracować przy owym sprawozdaniu po 40 godzin każda. Przeliczając to na 25 dni roboczych w miesiącu po 8 godzin, a więc przeliczając na 2000 zł pracowniczej pensji, następnie mnożąc tylko przez 17 województw, zatem opuszczając miasta wydzielone, męcząc się tak i trudząc, otrzymujemy rzeczone 707 tys. zł. Na szczęście przerwano — z zewnątrz — wykonywanie tego zbożnego dzieła.

Wydział Oświaty i Kultury Prezydium PRN w pewnym powiecie naszego województwa rozpisał ankietę na temat osiągnięć powiatu w 25-leciu PRL. Ankietę mieli wypełniać nauczyciele z całego terenu, a dane zbierać uczniowie klas VII w ramach zajęć wychowania obywatelskiego, prowadząc wywiady pośród obywateli siół i miast. Sprawy ujęto w trzech przedziałach: lata 1918—39, 1944—69 oraz: wzrost w procentach. Krzyżując to z konkretnymi pytaniami ankiety, chciano się m. in. dowiedzieć, ile w dwudziestoleciu międzywojennym było w powiecie... lodówek, pralek, odkurzaczy, telewizorów, klubów „Ruchu" i klubów „Młodego Rolnika", jaki był wzrost procentowy analfabetów powiatowych... w 25-leciu PRL, żądano od pracowitego ludku danych, ile wypadło bydła na 100 ha użytków rolnych (w obu okresach)! Tak przynajmniej wypadało z ankiety. A na dodatek ową robotę pieczołowicie wykonano. Aż wierzyć się nie chce!

Informacje uzyskane drogą nielegalnej sprawozdawczości są zazwyczaj niewiarygodne, niepotrzebne, a w najlepszym wypadku dublują dane z oficjalnych statystyk. Ludzie marnują czas, a państwo pieniądze. Często wynika to z nadmiernej gorliwości, często z przerostów administracyjnych na szczeblach centralnego zarządzania gospodarką, często zaś z egoizmu, gdy, na przykład, wysokiej rangi urzędnik pisze pracę doktorską i potrzeba mu wymyślnych zestawień. Spółdzielczość pracy celuje w nielegalnej sprawozdawczości. A przecież ten problem nie jest jedynym, z jakim musi uporać się aparat statystyki pionu GUS-owskiego. Lecz — od początku.

Statystyka bywa obiektem rozmaitych dowcipasów ze strony zatwardziałych humanistów. Ale nie każdy chce wiedzieć, że bez szerokiego i stałego obiegu informacji statystycznych sterowanie procesami społeczno-kulturowymi w kraju czy planowe, racjonalne zarządzanie nowoczesną gospodarką nie byłoby właściwie możliwe. Sprawnie funkcjonujący aparat rejestrowania i opracowywania danych liczbowych ze wszystkich dziedzin życia staje się współcześnie obiektywną koniecznością.

Najważniejszym bodaj ogniwem tego aparatu jest w Polsce sieć urzędów statystycznych — począwszy od głównego poprzez jego wojewódzkie odpowiedniki, urzędy miejskie (dla miast wydzielonych oraz liczących ponad 100 tys. mieszkańców), a na powiatowych inspektoratach statystycznych skończywszy. Zaś podstawowym efektem pracy jest tutaj bogaty kompleks publikacji. Po pierwsze — publikacje otwarte o charakterze rocznikowym, wydawane każdego roku przez urząd główny i urzędy wojewódzkie oraz co pięć lat przez instancje powiatowe i miejskie.

Druga dziedzina to publikacje specjalistyczne, przeznaczone do użytku wewnętrznego, dla władz i działaczy społeczno-gospodarczych. Obok opracowań szerszych (np. kwartalnych informacji statystycznych) na szczególną uwagę zasługują tu tzw. publikacje operatywne miesięczne. Informują one o realizacji ważniejszych zadań miesięcznych województwa w zakresie szeroko pojętej gospodarki, sygnalizując przede wszystkim zjawiska negatywne. Wskazują więc na potrzebę dokonania zmian, ułatwiając władzom bieżące podejmowanie optymalnych decyzji. Trudno przecenić rolę tego rodzaju wydawnictw.

Te miesięczne informacje są opracowywane przez wszystkie WUS-y, ale nie wszędzie są tak skutecznie wykorzystywane jak na Lubelszczyźnie. Aktualne kierownictwo Prezydium WRN w Lublinie zalicza się bowiem do sojuszników aparatu statystyki, który na nadmiar takich sprzymierzeńców narzekać, niestety, nie może. Z inicjatywy przewodniczącego Ryszarda Wójcika i w oparciu o wspomniane publikacje odbywają się co miesiąc narady kierowników wydziałów WRN, przewodniczących PRN oraz dyrektorów zjednoczeń. Na tej podstawie opracowuje się i wysyła dyspozycje dla poszczególnych resortów, dyrektorów przedsiębiorstw i terenowych organów władzy, co stanowi skuteczną formę właściwego oddziaływania na gospodarkę województwa.

Do lubelskiego WUS-u wpływa około 100 tys. sprawozdań w skali rocznej od około 5 tys. jednostek sprawozdawczych (zakładów przemysłowych, szkół, domów kultury, rad narodowych itd.). Ten właśnie materiał, opracowany i skorelowany przez WUS, jest wykorzystany we wszystkich publikacjach, o których była mowa. Normalna robota nad otrzymanymi sprawozdaniami stanowi zadanie nie lada dla 20-osobowej ekipy wojewódzkiego urzędu w Lublinie. Lecz — uprzednio — kwestią absolutnie zasadniczą byłaby prawidłowość i rzetelność sprawozdań wpływających od poszczególnych jednostek. I tu zaczyna się cały problem.

Epoka liczydła w statystyce dość dawno już się skończyła dla krajów wysoko rozwiniętych pod względem gospodarczym, zaś dla Polski w każdym razie się kończy. W Lublinie — na przykład — ruszy w marcu Wojewódzka Stacja Techniki Statystycznej, podległa WUS-owi i wyposażona m. in. w maszyny systemu kart dziurkowanych. Mechanizacja statystyki, oparta na ścisłym zaprogramowaniu maszyn, stawia wymagania wielkiej dokładności i odpowiedniości wstępnych danych, dostarczonych maszynie przez człowieka. Jeśli owo zaprogramowanie, oparte o konkretną metodologię statystyczną, wymaga — powiedzmy — danych o przeciętnym zatrudnieniu w roku, to zakład, przedstawiający WUS-owi stan faktyczny zatrudnienia na koniec roku, dostarcza wprawdzie sprawozdanie rzetelne, ale nieprawidłowe, a więc nieprzydatne. Szczególnie słaba znajomość zasad sprawozdawczości występuje przy kwestiach właśnie stanu i ruchu zatrudnionych oraz ruchu budowlanego w gospodarce prywatnej.

Jeszcze gorzej, gdy sprawozdawczość bywa nierzetelna, tj. niezgodna ze stanem rzeczywistym. A takie fakty też się zdarzają.

WUS-y robią bardzo wiele, by dane z jednostek sprawozdawczych sprostować i uzgodnić z rzeczywistością. Poza akcją instruktażowo-szkoleniową w jednostkach sprawozdawczych oraz działaniem prewencyjnym (upomnienia, ponaglenia), lubelski urząd prowadzi szeroką akcję kontrolną — w r. 1969 około 600 kontroli, ponadto wspólnie z Prezydium WRN — 30 kontroli (w br. już 40); same terenowe rady narodowe w r. 1969 przeprowadziły również około 600 kontroli w podległych im zakładach. Tego rodzaju przedsięwzięcia umożliwiają właśnie poprawienie błędów czy uzupełnienie braków. Umożliwiają też ujawnianie sprawozdań nielegalnych — w r. 1969 wykryto ich na Lubelszczyźnie 50 (w tym 39 prowadziły jednostki kierowane ze szczebla centralnego).

Dyrektor WUS-u w Lublinie, Ryszard Wiśniewski, najbardziej narzekał w rozmowie ze mną na niektóre jednostki podporządkowane: Ministerstwu Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", Centralnemu Związkowi Spółdzielczości Pracy, Ministerstwu Przemysłu Chemicznego, Centralnemu Związkowi Spółdzielni Produkcyjnych, Komitetowi Drobnej Wytwórczości. Jak widać — instytucje i zakłady, podległe wymienionym instancjom, są w nierównym stopniu zależne od władz terenowych, do czego jeszcze potem wrócę. Zresztą w ogóle idzie także o lokalne organa i przemysł terenowy.

Na razie — aby nie być gołosłownym — kilka całkiem konkretnych przykładów, opartych na rozpoznaniu lubelskiego WUS-u. Oto Państwowe Zakłady Zbożowe w Chełmie wykazały mniejszy skup produktów rolnych za trzeci kwartał 69 r. niż wynosił faktyczny skup w dwu miesiącach tego kwartału. Gorzelnia w Husynnem (pow. Chełm) podała dane ze skupu, za pierwsze półrocze 69 r., nie mające żadnego pokrycia w dokumentacji podstawowej, a więc robota „na oko", na które — jak to mówią — chłop w szpitalu leżał. Prezydium MRN w Rejowcu (pow. Chełm) podało stan ulic i placów w swoim mieście „z sufitu" chyba, bo nie prowadzi żadnej dokumentacji z tego zakresu. Prezydium GRN w Łomazach (pow. Biała Podlaska) od 1966 r. do dziś opracowuje sprawozdania o zasobach lokalowych nie w oparciu o aktualną dokumentację, lecz przepisuje ze sprawozdania sporządzonego w r. 1965.

I wreszcie najgrubsza sprawa. Niektóre gminne spółdzielnie „Samopomocy Chłopskiej" z pow. Bełżyce — Niezabitów, Karczmiska, Bełżyce, Wojciechów — zawyżyły roczne sprawozdanie ze skupu o około 30 proc. w porównaniu z kwitami skupu. Zgodnie z uchwałą Rady Ministrów nr 16/68 z dnia 16 I 1969 r. — gromadzka służba rolna jest premiowana za przyrost skupu. „Za osiągnięty postęp w rolnictwie" spółdzielnie te otrzymały premie pieniężne. Otrzymały faktycznie za nic, a raczej za sprawą fałszywej sprawozdawczości.

Podstawowa przyczyna nieprawidłowości czy nierzetelności sprawozdań statystycznych nie zawsze tkwi w zakresie spraw — łagodnie mówiąc — podlegających kompetencjom prokuratury, jak w ostatnim przypadku. Częściej polega na nieprawidłowo funkcjonującej służbie sprawozdawczej w jednostkach, gdzie kwestie statystyki są po prostu nie doceniane, a pracownikom brak merytorycznych kwalifikacji w tym względzie. Jak się pracownik w zakładzie do niczego nie nadaje, to go robią „statystykiem".

Pół biedy, gdy chodzi o jednostki podległe przede wszystkim władzom terenowym, istnieje bowiem większa możliwość ingerencji ze strony WRN-u czy WUS-u. Gorzej w przypadku jednostek podlegających bezpośrednio instancjom centralnym. Wiele resortów... bardzo mało robi, by podnieść poziom sprawozdawczości w swoich zakładach. Nie szkolą i nie kontrolują — aparat statystyki wojewódzkiej musi to nadrabiać, niejako dodatkowo. A przecie owe czynności wynikają z regulaminu pracy każdego resortu, są obowiązkiem. Tym więcej, że instancje centralne same korzystają z informacji, które WUS opracowuje na podstawie sprawozdawczości z zakładów kierowanych centralnie. Kłopoty owe można częściowo tłumaczyć faktem, iż Polska jest bodaj jedynym krajem, gdzie obok statystyki, ogólnie mówiąc, GUS-owskiej, którą powinny wspomagać resorty, istnieje odrębna i mająca inny zakres statystyka resortowa (zatwierdzana, oczywiście, przez GUS). Próba połączenia obu rodzajów statystyk w obrębie kompetencji urzędów statystycznych (tzw. eksperyment krakowski) praktycznie nie powiodła się. Tu tkwi jakiś poważny problem.

Ale jeśli nawet domaga się on uregulowania, to nic nie tłumaczy określonego resortu, gdy ten nie kwapi się z kontrolą w następującej sytuacji: zakładowi przemysłu kluczowego, produkującemu pewne urządzenia, brak pod koniec kwartału do wykonania planu kwartalnego, powiedzmy, 1500 tych urządzeń; dostarcza więc odbiorcy... 150 urządzeń wraz z fakturą wysyłkową, opiewającą na... 1500; oczywiście, odbiorca reklamuje, producent się kaja, wyjaśnia „pomyłkę", pisma między zainteresowanymi krążą, czas upływa, w pierwszym miesiącu następnego kwartału zakład wywiązuje się, a plan poprzedniego kwartału zostaje „uratowany" (premia też), faktura wysyłkowa na 1500 urządzeń „zgadza się" z odpowiednią pozycją w rozmaitych sprawozdaniach.

Pod koniec ubiegłego roku na wniosek WUS-u Prezydium WRN w Lublinie podjęło uchwałę, która powołała tzw. statystyków zakładowych w jednostkach organizacyjnych prezydiów rad narodowych Lubelszczyzny oraz w jednostkach nadzorowanych przez te rady. Zadaniem takich pracowników jest wielostronna koordynacja służby sprawozdawczej w poszczególnych zakładach i instytucjach. Obecnie w województwie działa około 400 statystyków zakładowych. Liczba ich będzie rosnąć, tak samo jak i kwalifikacje, podnoszone na szkoleniach. Akcja ta rozszerza się na jednostki podległe resortom.

Może w ten sposób zostanie wreszcie przełamana sytuacja, w której najskuteczniejszym środkiem zapobiegania sprawozdawczości nielegalnej, nieprawidłowej i nierzetelnej było kierowanie spraw do kolegiów karno-administracyjnych (w r. 1969 wysłano za pośrednictwem WUS-u 84 wnioski). Przeciętna grzywna wynosiła tu 500 zł — z kieszeni pracownika sporządzającego sprawozdanie lub podpisującego je kierownika jednostki. Nie jest to w końcu optymalny, choć często bywa konieczny, sposób na odzyskanie przynajmniej części pieniędzy zmarnowanych przez ludzką niekompetencję czy nieuczciwość.

W poczekalni

Czesław Klepacki

TEN wąski i ciasny korytarz tylko przy dużej wyobraźni nazwać można poczekalnią ośrodka zdrowia. Właściwie gdyby nie nadarwany plakat z pyzatym dzieckiem, dzierżącym w ręku szczoteczkę do zębów niby bojowy sztandar oraz upstrzony przez muchy napis „myj zęby", można by przyjąć, że jest to mały przedsionek, wiodący do któregoś z ważnych gromadzkich urzędów. Przyzwyczaiwszy nieco wzrok do ciemności można zorientować się, że poczekalnię ową, podobnie jak wszelkie pomieszczenia dla ośrodka, wykombinowano dzieląc korytarzykiem na dwie części obszerną i niegdyś wytworną salę magnackiego pałacu. Podziału dokonano w pośpiechu, stawiając ścianki z dykty, które być może kiedyś mogły pochwalić się białym kolorem, dziś straszą wzrok brudnorudymi plamami.

Zza prawego przepierzenia dolatuje stukot maszyny do pisania, potem ktoś obrzuca klątwami anonimową bazę PKS, biorąc w obronę kilkadziesiąt sztuk świń, które miały nieszczęście być zakupione dwa dni temu i w oczekiwaniu na samochód spędzają czas w niegościnnej buchcie pod gołym niebem.

Ludzi w poczekalni niewiele. Lekarz powinien być dopiero za pół godziny, a może i za godzinę — kto go tam wie, dojeżdża przecież z miasta, różnie może mu się ułożyć. Przy samych drzwiach, wtulone w kąt, siedzi młode małżeństwo z niemowlakiem, który zasnął, uparcie trzymając się matczynej piersi. Jego tata, chłopak może 20-letni, kręci się niecierpliwie, raz po raz z zażenowaniem spoglądając na ten kawałek odkrytej piersi. Chciałby, bardzo chciałby go zakryć, schować, odebrać ukradkowym spojrzeniom ludzkich oczu. Wyraźnie ma za złe żonie, że pogrążona w tym swoim matczynym zmartwieniu nie zwraca uwagi ani na otoczenie, ani na błagalne i karcące spojrzenia męża.

Jest również owinięta w trzy chusty, może 40-letnia kobieta o wyglądzie babci-staruszki, której twarz, stanowiąca sumę zmarszczek nakładanych przez lata całe, mówi więcej niż opowieść, którą już trzeci raz zaczyna i dokończyć nie może, bo zawsze ktoś coś wtrąci, przerwie, wejdzie z tym, co sam ma do powiedzenia, co zwykło się w takich chwilach marnowania czasu opowiadać ludziom obcym, choć niby znajomym. Jest jeszcze żołnierz, któremu urlop na weselu o całe dwa dni się przeciągnął i który teraz wcale nie ukrywa, że ma dużego piętra i tylko to zaświadczenie może go uratować przed „tygodniem ścisłego". Najwięcej mówi, najczęściej wszystkim przerywa gospodarz, może 50-letni, czerstwy i potężnej budowy, wesołek, jakich mało, który wszystko w żart obróci, w każdej smutnej opowieści coś do śmiechu znajdzie.

Kiedy bowiem kobiecina zaczęła snuć tę swoją smutną opowieść o siostrze i o tym, co się później wydarzyło, kiedy wszyscy słuchali nie przerywając, on wyskoczył z tym swoim powiedzeniem: „różnie z tą medycyną bywa". Ale tylko po to, aby zaraz o swojej babce — lekarce opowiedzieć.

— Mały jeszcze byłem, ot taki szczaw, co ledwie za gęśmi się uganiał, ale pamiętam, bom się u babki chował. Sławna była kobieta na całą okolicę i można powiedzieć — swój szpital miała. Leczyła na poruchę... Ja tam nie bardzo wiem, co to znaczy — tu łypnął znacząco okiem w stronę żołnierza — ale wydaje się, że o różne kobiece choroby chodziło. Bywało, przywozi mąż kobietę ciężko chorą, z wozu ją pod pachę prowadzi i ugaduje się z babką względem tego leczenia. Babka znała swą wartość, wiedziała, co znaczy i ceny stawiała słone.

— Dasz — powiada — ćwiartkę wieprzaka, pud mąki i dwa złote, to będziemy leczyć, a nie to wież gdzie indziej...

Skrobał się człowieczyna w łysinę, ale co było robić, przystawał i pacjentka szła na kurację. A kuracja była taka: brała babcia balię, kilka garnców ukropu, wrzucała do tego jeszcze rozpalone kamienie, owijała chorą prześcieradłem, nad balią stawiała i kazała tak stać, póki się gruntownie nie wyparzy. Potem kąpiel i do łóżka, a w łóżku jeszcze na rozgrzewkę kieliszek spirytusu.

— Oj babciu, jak mi dobrze, już mi ulżyło...

Jak mogło nie ulżyć, kiedy taka chora wreszcie gruntownie się umyła i rozgrzała. Potem jeszcze różne zioła, nacierania spirytusem i nowe kąpiele. Poleżała kobiecina tydzień, albo i więcej, jeść dostawała dobrze, o robocie nie myślała wcale, to i wydobrzała szybko...

W tym miejscu nie wytrzymała już kobiecina z przeciwka:

— Zbereźnik, Boga w sercu nie znacie takie rzeczy opowiadać, choćby i prawdziwe...

Zaś młody ojciec chorego dziecka zaszurgał niecierpliwie nogami, wciąż z zażenowaniem patrząc na żonę, po czym, przepychając się wąskim przejściem, wyszedł niby to popatrzeć, czy koń w lejce się nie zaplątał, czy torba z obrokiem pod wóz nie wpadła. Tylko żołnierz zaśmiał się porozumiewawczo. Potem zaległa cisza i wszyscy słuchali rozmowy za przepierzeniem o wycieczce do Nowej Huty, Wieliczki i Zakopanego, o panu Franiu, który zapił się już pod Radomiem, a w Krakowie na dobre się zgubił i o takiej jednej z powiatu, co to w tyle autobusu różne dziwności wyprawiała z żonatymi.

I dopiero później, kiedy już było wiadomo, że lekarz spóźni się o całą godzinę, bo z autobusu nie wysiadł, dopiero wtedy kobiecina z naprzeciwka jeszcze raz opowiedziała to swoje zmartwienie z siostrą.

— Nie można powiedzieć, żeby ona była taka całkiem zdrowa, ale też bardzo chora nie była. Miała reumatyzm i jeszcze coś z wątrobą, ale do lekarzy nie jeździła. Dopiero zeszłego roku wiosną, kiedy do pielenia już wcale wyjść nie mogła, pojechała do powiatu, do takiego lekarza od wątroby. Ten zbadał i dużo lekarstw przypisał — nie można powiedzieć, nawet dobrych, bo i zagranicznych, w zastrzykach, choć drogie to to było okrutnie. A we wsi zastrzyków nie ma komu robić, kiedyś była kierowniczka szkoły co umiała, ale ją przenieśli, te młode nie umieją, albo i nie chcą. Od nas do ośrodka 10 kilometrów, a wiosną czasu szkoda, nawet ona sama powiedziała do męża — strzykawkę przecież masz, gdzie się będę po ośrodkach tłuc, wygotuj i zrób te zastrzyki. No i on robił... Po pierwszych było wszystko dobrze, nawet jakby trochę ozdrowiała, a potem zaczęło się z tą nogą: spuchła i guz jakiś wyskoczył. Sama nawet mówiłam, że to na pewno od tych zagranicznych zastrzyków, że się rozejdzie, tylko trzeba nacierać. Ale noga puchła i zsiniała. Trzeba było jechać do lekarza, innej rady nie było, więc on, niby jej mąż, powiedział: skoczę tylko w pole na parę godzin, pod kartofle ten kawałek zorzę i koło południa pojedziemy.

Pojechali i on wrócił sam, bo ją pogotowie do szpitala zabrało. Na razie nic nie było wiadomo, tylko lekarz strasznie sklął męża i powiedział, że to morderstwo i inne takie rzeczy i że nie wiadomo, czy wyżyje.

Strasznie się ten mój szwagier przestraszył, bo lekarz nawet prokuratorem groził, aleśmy mu tłumaczyli, że przecież w szpitalu i to w Lublinie na pewno wszystko na dobre wyprowadzą, tam są profesorowie i doktorów różnych dużo. A tak i nie wyprowadzili. Zmarło się jej za dwa tygodnie, na same Zielone Świątki, a jego prokurator aresztował i teraz będzie sprawa, zaświadczenia różne z ośrodka są potrzebne, ten lekarz ciągle nie przyjeżdża, a tam w domu dzieciaków siedmioro, moich troje i jej — znaczy się siostry nieboszczki — czworo.

Kiedy tak to wszystko opowiadała, nikt jej już nie przerywał, wszyscy milczeli, tylko ten wesoły jeszcze raz sapnął: „różnie z tą medycyną bywa, i z ludźmi różnie bywa". Właśnie wtedy pomyślałem też, że nie będzie reportażu z ośrodka zdrowia, będzie tylko to zanotowane w pamięci opowiadanie z poczekalni.

Kamena str. 5

Czego uczy Studium Wojskowe UMCS

Bronisław Getka

Autor tego artykułu ppłk Bronisław Getka, jest starszym wykładowcą kształcenia politycznego Studium Wojskowego UMCS w Lublinie. Zamieszczony niżej materiał stanowi fragment większej pracy pt. „Światopogląd, jego istota i proces kształtowania wśród studentów Studjum Wojskowego UMCS".

(Red.)

PONAD 20 lat istnieją przy wyższych uczelniach cywilnych studia wojskowe. Przygotowują one oficerów rezerwy, stanowią szkołę patriotyzmu. W czasie zajęć politycznych studenci szczegółowo zapoznają się z historią naszego wojska, a zwłaszcza poważnym wkładem ludowej armii w rozgromienie hitleryzmu. Wiele uwagi poświęca się bieżącej sytuacji międzynarodowej, analizując stosunki między obozem socjalistycznym a obozem kapitalistycznym, wskazuje na konkretną walkę ZSRR i innych państw socjalistycznych o zachowanie i utrwalenie pokoju. Ponadto studenci pogłębiają swój światopogląd, zdobywając podstawy marksizmu-leninizmu.

Zauważyłem, że z biegiem lat studiów wzrasta zainteresowanie studentów problematyką polityczną. Dyskusje stają się żywsze, pytania dotyczą szerokiego wachlarza zagadnień.

Jestem zwolennikiem otwartych dyskusji. Metoda nauczania problemowego w grupach rozwija wśród studentów samodzielność myślenia i działania, stwarza dobre warunki do ścierania się poglądów.

Nie wolno nam zapominać, że w świadomości młodzieży studenckiej fakty i wydarzenia dotyczące chociażby II wojny światowej są już odległą historią. Stąd waga spotkań z bojownikami walk o Polskę Ludową, byłymi partyzantami, oficerami i żołnierzami Ludowego Wojska Polskiego, więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Przeżycia tych ludzi opowiedziane w bezpośredniej, atrakcyjnej formie przynoszą więcej pożytku niż niejeden suchy wykład.

Wielką pomoc przy omawianiu poszczególnych zagadnień stanowi film dokumentalny. Podczas jednych z zajęć wyświetliłem krótkometrażowy film o walce w Wietnamie. Później z taśmy magnetofonowej odtworzyłem audycję przygotowaną na ten temat przez Redakcję Opracowań Dźwiękowych Domu Wojska Polskiego w Warszawie. Dyskusja, jaka się następnie wywiązała, stała na bardzo wysokim poziomie. Fakt, że studenci UMCS podjęli szlachetny czyn oddania w ciągu dwóch tygodni 250 litrów krwi dla walczącego Wietnamu, ma swoją wielką wymowę.

Uważam, że wykładowca — zwłaszcza przy omawianiu spraw światopoglądowych — powinien sięgać do wielu przykładów, nawet z własnego życia. Szczere przedstawienie swojej drogi do zdobycia materialistycznego światopoglądu znacznie ułatwia nawiązanie dialogu z młodzieżą.

Dialog ten może pogłębić umiejętnie podsumowana lektura. Spore zainteresowanie wzbudziła np. książka Leonarda Swiderskiego, księdza, w przeszłości potencjalnego kandydata na biskupa, pt. „Oglądały oczy moje", a także odtworzona przez magnetofon audycja mgr Henryka Chylińskiego, b. księdza, na temat pochodzenia religii i chrześcijaństwa.

Później wielu studentów już na własną rękę szuka materiałów, które pozwalają im zdobyć nowe wiadomości z tego zakresu.

Oczywiście, sprawy światopoglądowe — z uwagi na atmosferę panującą w wielu domach, wpływ rodziców — nie są łatwe. Z młodzieżą wykładowcy muszą rozmawiać życzliwie i delikatnie, unikając komenderowania i pokrzykiwania.

Nie chciałbym wyciągać zbyt pochopnych wniosków, sądzę jednak, że nasza praca z młodzieżą daje również konkretne rezultaty w postaci wzrostu przyjęć do PZPR i organizacji młodzieżowych. Przeprowadziłem badania 50-osobowej grupy studenckiej, wybranej w trakcie losowania. Przed rozpoczęciem I roku studiów tylko czterech spośród nich należało do partii, a po zakończeniu II roku — już ośmiu. Do ZMS należało 16, a po II roku studiów — już 28.

Studenci w trakcie nauki przekonują się, że studium wojskowe dostarcza im wielu cennych wiadomości. Wykazała to inna ankieta. Do 100 studentów Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego zwróciłem się na początku roku akademickiego 1966/1967 z pytaniem, czy odpowiada im program kształcenia politycznego, opracowany przez Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego, czy program ten — ich zdaniem — należy poszerzyć, zawęzić czy też w ogóle wyeliminować. 42 studentów było za rozszerzeniem, 14 — za zawężeniem i aż 8 za całkowitym wyeliminowaniem. Po dwóch latach już 34 studentów wypowiedziało się za rozszerzeniem, o tylko 4 za zawężeniem i 2 za wyeliminowaniem. Dane te zadają kłam twierdzeniom niektórych nauczycieli w szkołach, a nawet oficerów liniowych w studium wojskowym, że młodzież nie docenia kształcenia politycznego, nie interesuje się polityką.

Problem tkwi w tym, jak się ową politykę podaje, jak zachęca młodzież do pogłębiania wiadomości.

Dokończenie na str. 11

Degrengolada stompers

Dokończenie ze str. 1

tarną umiejętność posługiwania się nutami posiadł niespełna 1 (słownie: jeden) procent. Prawie wszyscy grają więc „ze słuchu"; do niedawna analogiczna sytuacja była w wielu zespołach, które „podziwialiśmy" na antenie radiowej, a zwłaszcza telewizyjnej... A zatem — naśladownictwo, i to naśladownictwo najbardziej prymitywne, oparte na zapamiętywaniu, na powielaniu. Coś wręcz z pogranicza absurdu, coś w rodzaju nauki czytania bez opanowania alfabetu. Partytura bowiem uznawana jest przez bitowców za przeżytek.

Wielu instruktorów twierdzi, że ich podopieczni nie chcą uczyć się nut, bo nie mają na to czasu: chcą grać już, natychmiast, gdyż tylko występując na estradzie mogą liczyć na sukces. Na jakiej estradzie i dla jakiej publiczności, to już dla zespołu sprawa trzeciorzędna. Równie dobra z ich punktu widzenia jest ważna lokalnie akademia, co jubileusz dziesięciolecia straży pożarnej w Kwaśniewicach; koncert dla mieszkańców miasta co przygrywanie do tańca na studniówce czy zgoła odpuście. Nie jest też najważniejsze, jak się gra (naturalnie, poza natężeniem dźwięku: im głośniej tym lepiej — to wydaje się jedynym kryterium „artystycznym"). Ważne jest natomiast... za ile się gra. Rozmaicie. Za 1 500 zł, za 6 000 zł (to na studniówkach i odpustach), a nawet za 10 000 zł (to już przy ważniejszych okazjach). Sprawa apanaży muzykantów-bigbitowców nabiera dodatkowych rumieńców w zestawieniu z faktem, że wszyscy grają w zespołach formalnie amatorskich...

Ale interesowność (występuje ona także, a może przede wszystkim, pod podszewką owej niecierpliwej dążności do sukcesu za wszelką cenę) stanowi jedną tylko, i to nie najgorszą jeszcze stronę przysłowiowego medalu. O wiele bardziej niebezpieczne w sensie społecznym jest rozpowszechnianie kultu idoli, prymitywnego gwiazdorstwa. Miałem okazję rozmawiać z kilkunastoma młodymi ludźmi uprawiającymi bigbit w różnych miastach Polski — każdy niezłomnie wierzył, że wypłynie, marzył o występach w radio, TV, o własnych nagraniach płytowych. Może była to jednomyślność przypadkowa. Ale jeśli nawet, to i tak przecież wielce symptomatyczna.

A skutki społeczne?

— Poza lekceważeniem pracy jako czynnika awansu, poza osobistymi tragediami wynikającymi z rozczarowań, poza zredukowaniem w świadomości młodzieży najbardziej humanistycznego elementu, jakim jest krytycyzm, zwłaszcza samokrytycyzm — masowe uprawianie muzyki bitowej wyrządza niepowetowane szkody amatorskiej, i nie tylko amatorskiej, prawdziwej muzyce — powie wieloletni instruktor ogniska muzycznego w Hrubieszowie, Wacław Matras. — Dziś muzykę z prawdziwego zdarzenia uprawiają tylko moi rówieśnicy, panowie dawno po czterdziestce. Reszta hałasuje na gitarach elektrycznych, a to prymityw przecie, cała muzyka bitowa oparta jest na trzyfunkcyjnym układzie harmonicznym — tonice, dominancie i subdominancie. Czegoś tak uproszczonego w historii muzyki jeszcze nie było.

Ostra, na pewno subiektywna ocena. Wyraża w gruncie rzeczy rezygnację — występowanie przeciwko tak masowemu ruchowi byłoby z góry skazane na niepowodzenie. Bo też rzecz nie polega na ograniczaniu czy tępieniu tyleż naturalnych co powszechnych tendencji, ale na umiejętnym sterowaniu, na wprzęgnięciu masowego trendu całych pokoleń w proces zbliżania dzisiejszej młodzieży do kultury muzycznej.

Sprawa nie jest, oczywiście, prosta. Z jednej strony zespołom brak stabilności, w pogoni za sukcesem członkowie zmieniają się często i wielokrotnie (ostatnio np. czołowe grupy bitowe Lubelszczyzny — „Minstrele", „Diabazy", „Słowianie" i „Tendersi" — wymieniły pomiędzy sobą aż 80 proc. składu osobowego, a szczytem płynności kadr zasłynął krakowski zespół „Szwagrów", w którym na przestrzeni kilku lat grało już, przy 5-osobowym składzie, 66 ludzi). Z drugiej strony muzykująca młodzież w większości pozbawiona jest fachowej opieki. Nagminne są przypadki zatrudniania przez zakłady pracy do własnych zespołów instruktorów o możliwie najniższych kwalifikacjach, najchętniej zweryfikowanych w IV kategorii, bo tacy są najniżej opłacani. Zdarza się, że zatrudniani są nawet „instruktorzy" w ogóle nie posiadający weryfikacji (np. na 142 zespoły z pionu związkowego 20 prowadzą właśnie „instruktorzy" niezweryfikowani).

Sytuacji próbuje przeciwstawić się lubelski WDK. Łącznie objął on 98 osób comiesięcznym szkoleniem muzycznym. Ale odosobnione wysiłki jednej instytucji nie załatwią sprawy. Zwłaszcza że lubelskie szkoły muzyczne, obrażone na bigbit za „profancję prawdziwej muzyki", w ogóle zamknęły oczy i uszy na fakt istnienia potężnego, bądź co bądź, muzycznego ruchu młodzieżowego. Niektórzy z pedagogów, zapewne powodowani troską o ową prawdziwą muzykę, przeszli nawet do ofensywy, zabraniając swym wychowankom „wypaczającego wrażliwość grywania barbarzyńskiego bigbitu na prymitywnych instrumentach". (Tu autentyczny a znamieny fakt, kupiony od dziennikarza „Trybuny Ludu", red. B. Jankowskiego, z wykształcenia muzykologa, który w charakterze krytycznego, a więc życzliwego recenzenta towarzyszy muzyce młodzieżowej od lat: swego czasu sam Zbigniew Namysłowski czołowy polski jazzman wydalony został z liceum muzycznego za brak... uzdolnień a de facto dlatego, iż pomimo zakazów grał, podówczas jeszcze na puzonie, w orkiestrze rozrywkowej). Skutek owej strusiej polityki jest oczywisty — muzykujący młodzi ludzie męczą siebie i słuchaczy, nie znają muzycznego ABC i skazani są na prostackie naśladownictwo.

Nie załatwia też sprawy wprowadzona do szkolnictwa reforma systemu nauczania. Wprawdzie w trzech pierwszych klasach szkół średnich istnieje przedmiot zwany wychowaniem muzycznym, ale praktycznie naukę pobiera niespełna połowa uczniów (mogą wybierać pomiędzy trudniejszym wychowaniem muzycznym i łatwiejszym wychowaniem plastycznym). Brak jest przy tym odpowiednio kwalifikowanej kadry pedagogicznej. Dość powiedzieć, że na 47 przebadanych

→

Powrót nad Odrę

Dokończenie ze str. 1

pewne fragmenty Wrocławia zaczęły nabierać w jego oczach podobieństwa do Warszawy.

Wkrótce zaczęło się oblężenie z nękającym, ciągłym ostrzałem radzieckiej artylerii. Willa, jak i innych niewolników, zapędzono do stawiania i naprawy barykad. Miasto płonęło, rozsypywało się w gruzy. Pierwszy miesiąc, drugi...

Zgodnie z rozkazem władz wojskowych wszystkie mieszkania były otwarte, nareszcie więc można było sobie pozwolić na codzienną zmianę atakowanej przez wszy bielizny.

Pod koniec oblężenia oficer niemiecki powiedział do Willa, wskazując na trawione ogniem ulice Wrocławia: *Macie to swoje miasto.* Niemcy wiedzieli już, że upadek Festung Breslau jest równoznaczny z powrotem Wrocławia do Polski.

Nad 13 milionami ton gruzów unosiły się śmierdzące dymy, rozbłyskiwały ognie nowych pożarów, ale już 9 maja przybyła do Wrocławia czołówka administracji polskiej pod kierownictwem wiceprezydenta Kazimierza Kuligowskiego, a 10 maja — prezydent miasta, dr Bolesław Drobner oraz grupa delegatury Ministerstwa Oświaty z prof. Stanisławem Kulczyńskim na czele, w której znajdował się m. in. Henryk Kuczyński, późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej.

Andrzej Will zgłosił się do grupy naukowej, otrzymując zatrudnienie przy gaszeniu pożarów. Trzydziestoletni, wysoki i szczupły mężczyzna strażackim toporkiem podpisał pakt przyjaźni z miastem.

Popyt na strażaków był zresztą ogromny, formacje zawodowe liczyły na początku 1946 r. zaledwie 95 szeregowców i 1 oficera, w styczniu tego właśnie roku zanotowano 16 dużych i 20 mniejszych pożarów.

Życie koncentrowało się w piwnicach i ocalałych barakach; w jednym z nich zamieszkał Will. Po dwóch miesiącach przeniósł się do kolegi, rzeźbiarza, zajmującego lokal w dzielnicy Karłowice, najwcześniej zaludnionej przez Polaków. Tam była już elektryczność i woda w kranach.

Pierwsze miesiące polskiego Wrocławia wykazały całą bzdurność opinii, jakoby Polacy nie mieli zdolności organizatorskich. Oto dowody niesłychanego wprost tempa powrotu do normalnego życia w mieście spustoszonym, zaminowanym, pełnym jeszcze wrogo nastawionych Niemców: 12 maja 1945 r. popłynął pierwszy prąd; 15 maja uruchomiono wodociągi; 16 czerwca ukazała się gazeta „Nasz Wrocław"; 16 czerwca odbył się pierwszy seans filmowy; 7 sierpnia ruszył pierwszy tramwaj; 1 września w kilku szkołach otwarto rok szkolny; 8 września Opera wystąpiła z premierą „Halki"; 15 września wygłoszono wykład inauguracyjny na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu. Jeśli te fakty kogoś nie przekonają, proponujemy następne, z innej dziedziny, szczególnie apetycznej: do końca 1945 r. uruchomiono we Wrocławiu 258 restauracji i barów, 169 kawiarni, 192 masarnie i wędliniarnie, 148 piekarni, 72 komisy i 952 sklepy spożywcze! W tym czasie miasto liczyło ponad 30 tys. Polaków, w kwietniu 1946 r. już ok. 75 tys., a pod koniec tego roku — 171 tys.

Późniejsze losy A. Willa wiążą się bez reszty z kulturą wrocławską. Pod koniec pierwszego roku wolności wojewoda Piaskowski powierzył mu organizację referatu kultury przy radzie wojewódzkiej. Wkrótce potem w gabinecie Willa, który mieścił się w obecnym budynku PWRN, z jego inicjatywy odbyło się zebranie organizacyjne Związku Polskich Artystów Plastyków, w niedalekiej przyszłości najbardziej chyba dynamicznego stowarzyszenia twórczego Wrocławia. Pierwszym prezesem ZPAP wybrano Zygmunta Kurczyńskiego, rzeźbiarza starszego pokolenia, ucznia E. Bourdelle'a, autora paryskiego pomnika Mickiewicza.

Był też Andrzej Will współzałożycielem spółdzielni plastycznej „Paleta", umożliwiającej utrzymanie artystom w niełatwym okresie lat powojennych; opracował projekt i program średniej szkoły rzemiosł artystycznych; w 1947 otrzymał asystenturę w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, zorganizowanej przez Eugeniusza Gepperta; do niedawna był prezesem Dolnośląskiego Oddziału ZPAP.

Jest Andrzej Will wybitnym grafikiem i malarzem, członkiem „Grupy Wrocławskiej", obywatelem Wrocławia za sprawą historycznych okoliczności, lecz przede wszystkim z wyboru. Proponowano mu przecież powrót do rodzinnej Warszawy — na nader dogodnych warunkach. Odmówił. *To miasto* — mówi wskazując na Rynek przez okno swojej pracowni — *ma cholerny urok.*

To miasto jest dziś jednym z centrów kultury polskiej. Posiada 6 teatrów, Operę, Operetkę, Filharmonię, Teatr Pantomimy Tomaszewskiego, Teatr Laboratorium Grotowskiego, głośne teatry studenckie „Kalambur" i „Gest", 24 kina, ok. 100 świetlic, klubów i domów kultury oraz 82 biblioteki i punkty biblioteczne. Poza tym słynne „Ossolineum" (biblioteka i wydawnictwo). Wytwórnię Filmów Fabularnych, która wyprodukowała „Popiół i diament", jedne z największych w kraju muzea — Śląskie i Archeologiczne, a z imprez: Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Vratislavia Cantans", „Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych", „Ogólnopolskie Biennale Rysunku". Posiada też Wrocław znakomity miesięcznik społeczno-kulturalny „Odra".

Niejedna z tych nazw kryje w sobie wartości artystyczne o znaczeniu światowym.

Bez żywego tętna życia kulturalnego, które obejmuje całą ludność tych ziem, proces zespolenia ich z resztą ziem polskich będzie się opóźniał. Można nawet powiedzieć, że tempo rozwoju tego procesu ściśle jest uzależnione od tempa rozwoju życia kulturalnego — powiedział Władysław Gomułka w czerwcu 1946 r., w czasie pierwszych we Wrocławiu Dni Kultury Polskiej.

Te ziemie tętnią dziś życiem kulturalnym w sposób fascynująco mocny.

* * *

W tym czasie, kiedy artysta wchodził w miasto ze strażackim paszportem, dr Henryk Kuczyński naprawiał dach obecnego gmachu Wyższej Szkoły Rolniczej. Wysoki, barczysty, urodził się na Suwalszczyźnie, studia chemiczne kończąc na Politechnice Lwowskiej. 10 maja 1945 przyjechał do Wrocławia wraz z grupą naukową prof. St. Kulczyńskiego.

Na znalezionym rowerze podążował w kierunku Politechniki, kierując się starymi planami miasta. Dotarł do ogromnej równiny, smaganej krótkimi uderzeniami wiatru, wzbijającego obłoki kamiennego pyłu: w śródmieściu Wrocławia rozciągało się to, co pozostało z hitlerowskiego lotniska wojskowego, zbudowanego tu w marcu 1945 r. za cenę śmierci 13 000 ludzi — cudzoziemskich niewolników, spędzonych na przymusowe roboty z okupowanych krajów Europy, i cywilnych Niemców, mieszkańców Wrocławia. Teraz było tu wielkie targowisko, które za kilka lat miało przemienić się w dzielnicę wyższych uczelni — plac Grunwaldzki.

Po kilkunastu minutach dr Kuczyński znalazł się przed progiem swej wrocławskiej biografii: przed Politechniką, obsadzoną jeszcze przez wojska radzieckie.

Jej obiekty w stosunku do innych uczelni najmniej ucierpiały w czasie działań wojennych, ale i tak całkowicie zburzono budynek Instytutu Włókien Sztucznych, bombardowania rozbiły szczyt Gmachu Głównego i ścianę kotłowni, zdmuchnęły wszystkie szyby i dachówki. Wojska niemieckie i znajdująca się tu podczas oblężenia wytwórnia amunicji zdewastowały wnętrza, laboratoria i urządzenia. Pierwszym zadaniem polskich naukowców była odbudowa i organizacja uczelni: Politechniki i Uniwersytetu we Wrocławiu.

Plac Solny 1945

słuchaczy wychowania muzycznego z lubelskich szkół notacje poznało zaledwie 12. Jak informuje mnie Zbigniew K., muzyk i pedagog z Liceum im. Unii Lubelskiej w Lublinie, które jest szkołą przodującą w województwie — na 74 licea ogólnokształcące w 39 brak najprostszego instrumentu, chociażby akordeonu. Można więc sobie łatwo wyobrazić, jaki przebieg mają zajęcia muzyczne w tych ostatnich szkołach: w lepszym przypadku króluje czarny krążek i taśma magnetofonowa, w gorszym — nauczyciel, posługując się kredą i własnym głosem, usiłuje, z reguły bezskutecznie, wtajemniczyć adeptów w arkana muzycznej sztuki.

Koło się zamyka: szkoła wypuszcza młodzież „głuchą", młodzież z kolei chce grać i śpiewać, więc gra i śpiewa niemal in corpore — bez przygotowania. I nikomu ta paradoksalna sytuacja zdaje się nie przeszkadzać. Ale wystarczy posłuchać samych siebie — przecież nie potrafimy bez zafałszowania uczcić nawet solenizanta i przez proste takty „Stu lat" przedzieramy się niczym przez zawiłości polifonicznych konstrukcji samego Jana Sebastiana.

Tymczasem nasi sąsiedzi zza Odry potrafili rozwiązać problem i wykorzystali naturalny, masowy jak i u nas muzyczny trend swojej młodzieży. Młode pokolenie NRD także otrzymywało w bród elektrycznych gitar, ale pokolenie to potrafi na nich grać. Ktoś powie, że i u nas chłopcy z zespołu „NO TO CO" czy „Skaldów" grają znakomicie. Fakt, ale grają znakomicie właśnie dlatego, że wszyscy oni posiadają formalne wykształcenie muzyczne — i to na wysokim poziomie — umożliwiające tworzenie własnych kompozycji i aranżacji. Młodzi Niemcy grają nie tylko na gitarach, lecz także na doskonałych (bardzo tanich) akordeonach, instrumentach dętych i smyczkowych. Tu nie wystarczą już trzy podstawowe chwyty. Niemcy grają we wszystkich typach szkół — i grają w domu. Bo szkoła wytworzyła w społeczeństwie umiejętność kulturalnego, by tak rzec, kompetentnego muzykowania. Krótko — nasi zachodni sąsiedzi mają dokładnie to, czego nam akurat brak. Brak, moim zdaniem, dotkliwie, gdyż z ogromną szkodą dla milionów młodych ludzi, przed którymi od lat stoi otworem niebywała wręcz, na razie niestety wciąż tylko potencjalna szansa umuzykalnienia całych generacji Polaków.

Stanisław Harasimiuk

P. S. Zapewne czytelnik zachodzi w głowę skąd wytrzasnąłem osobliwy a krotochwilny ów tytuł, pozornie niespójny z poważną bądź co bądź treścią artykułu — tytuł zawdzięczam pewnemu wysoce, by tak rzec, oryginalnemu zespołowi muzycznemu z wojewódzkiego Opola (Śląskiego), który to zespół jesienią ub. roku zgłosił akces do udziału w Festiwalu Piosenki Partyzanckiej w naszym lubelskim Kraśniku. Otóż zespół ów wabił się — nomen omen — „DEGRENGOLADA STOMPERS". Oczywiście, nazwa wywołała niejakie wątpliwości w umysłach urzędników lokalnej władzy. Samozwańczy „kierownik literacki i artystyczny", w jednej osobie solista opolskiej ekipy zachował się nadzwyczaj przytomnie — z punktu rozwiał wszelkie wątpliwości: nie zwlekając ochrzcił swoją grupę nowym imieniem — „TRZEJ MUSZKIETEROWIE".

Dokończenie ze str. 1

Ale mimo to jestem optymistą. Wydaje mi się bowiem, że nie tylko ja odczuwam coraz większy niedosyt, gdy chodzi o środki na kulturę. Kiesa państwowa bywała w tej dziedzinie mniej lub więcej hojna, ale i my przyznajmy się odważnie, że w okresach tej hojności nie zawsze wykorzystywaliśmy środki, które nam przyznawano. Dzisiaj z różnych powodów mamy określoną sytuację inwestycyjną, ale mimo to zaczynamy budowę nowego gmachu dla kina w Białej Podlaskiej czy zespołu szkół muzycznych w Lublinie. Gdy zaczniemy liczyć dotacje dla obu teatrów, filharmonii, bibliotek publicznych, muzeów, domów kultury, zespołów artystycznych — doliczymy się pokaźnych milionów.

Nieszczęście w tym, że zaległości dawnych okresów są olbrzymie, a nasze apetyty wciąż rosną szybciej niż możliwości. Przed czterema i więcej laty istniała tak cudowna instytucja jak Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. Od początku czwarta część, a gdy już Warszawa rzeczywiście zaczynała nam pięknieć, to trzy czwarte zebranych przez SFOS pieniędzy szło na potrzeby województwa. Sama tylko kultura otrzymała z tego źródła ok. 60 mln zł, głównie na inwestycje. Ale by otrzymać prawdziwy wynik, owe 60 mln zł trzeba pomnożyć co najmniej przez dwa — bo dochodziły do tego dotacje państwowe na popieranie czynów społecznych jak i same czyny społeczne w postaci roboty, materiałów czy także pieniędzy.

Ale potem SFOS został wchłonięty przez Społeczny Fundusz Budowy Szkół, który wkrótce objął i budowę internatów. Piękne mamy i w tej dziedzinie osiągnięcia, ale fakt pozostaje faktem, że wprawdzie oświata zyskała wspaniałego mecenasa, straciła go jednak kultura. Stąd właśnie ów niedosyt.

Ale jest właśnie świetna okazja, aby kultura zyskała nowego mecenasa, także zbiorowego i także społecznego, właśnie w postaci Funduszu Rozwoju Kultury. Czy potrafimy tę szansę wykorzystać? Czy nauczyliśmy się czegoś z pierwszych doświadczeń po uruchomieniu SFBS? Przypomnijmy sobie, jak to każdy powiat, każda gromada, ba — każda wieś uważała, że płacone przez nią składki muszą być wykorzystane tylko na budowę szkoły właśnie w tej wsi. Powstawały w ten sposób mikroskopijne funduszki, które wystarczały tylko na wykonanie wykopów, a potem do władz płynęły coraz liczniejsze interwencje: zaczęliśmy w czynie społecznym, właśnie nasza wieś z tysiąca powodów musi mieć szkołę, więc teraz dajcie dotację „na dokończenie". Cudzysłów musi tu być bardzo duży, bo owe dotacje państwowe musiałyby z reguły sięgać 95 procent.

Ta praktyka została jednak po krótkim czasie zdecydowanie przerwana, środki scentralizowane i chociaż decyzje były podejmowane demokratycznie w terenowych radach narodowych, to przecież wszyscy uznali jedynie słuszną zasadę: budujemy nie dwadzieścia rzeczy od razu, ale kolejno po dwie czy cztery, najpierw tam, gdzie to obiektywnie rzeczywiście najbardziej potrzebne. No i dzięki temu zbudowaliśmy ok. 150 szkół.

Jeżeli z tych doświadczeń wyciągniemy odpowiednie nauki, to nie powinno dojść do konfliktów pomiędzy tymi, którzy w głównej mierze będą tworzyli nasz FRK. Przedtem udało nam się wprowadzić porządek terytorialny, że nie każda wieś, nawet nie każdy powiat sobie, a najpierw wspólnie tu, potem wspólnie tam. Teraz chodzi o analogiczny porządek instytucjonalny. Jeżeli w tym miesiącu czy w tym roku jakąś sumę wpłacą kina ze specjalnie zorganizowanych programów czy cykli, to nie znaczy, że ta suma musi być zaraz przekazana na pokrycie potrzeb kin. Jeżeli jakaś spółdzielnia przekaże część środków na działalność kulturalno-oświatową, albo jakiś procent z nadwyżki bilansowej, to nie może znaczyć, że te wpływy będą przeznaczone na jakieś inne potrzeby tej spółdzielczości. Koncentracja środków na koncie FRK tylko wtedy będzie miała sens, jeżeli wszyscy kontrahenci zrozumieją, że trzeba zastosować hierarchię potrzeb, że w ostatecznym rachunku największe korzyści przynosi wspólne działanie. I że nie robi się nikomu łaski, w jednym roku tylko dając a nic nie otrzymując, jeżeli w następnym dostaje się dwa razy więcej, co zapewnia osiągnięcie potrójnej korzyści. A do kompletu tych prawd oczywistych, ale w tej chwili właśnie koniecznych do przypomnienia, warto dodać i taką, że nikt z nas — osób pojedynczych, instytucji, przedsiębiorstw czy spółdzielni — nie żyje w próżni. Upowszechnianie kultury, dalszy rozwój jej bazy materialnej daje korzyści każdemu z nas, jeżeli nie bezpośrednie to w każdym razie pośrednie, te wspólne korzyści będą procentować u każdego.

Jeżeli już mowa o źródłach finansowych FRK, to chciałbym tu podsunąć jedną propozycję. Przyznaję z góry, że bardzo kontrowersyjną, może dla niektórych nawet szokującą. Ale na zimno, jak mi się wydaje, godną co najmniej przedyskutowania.

Chodzi mi mianowicie o wprowadzenie drobnych opłat za korzystanie z książek lub czasopism w bibliotekach publicznych. Tradycyjnie korzystanie z tych bibliotek jest u nas bezpłatne. Wprowadzając taką zasadę po wojnie, mieliśmy niewątpliwie rację. Co czwarty dorosły mieszkaniec naszego województwa był wtedy analfabetą, w wielu innych było podobnie. Gdy uporaliśmy się z analfabetyzmem, propagowaliśmy z widocznym skutkiem czytelnictwo książek i prasy, bo z jednej strony chodziło nam o to, aby nie nastąpił wtórny analfabetyzm, z drugiej o dopiero rodzące się zapotrzebowanie na słowo drukowane, co miało przynieść — i przyniosło — coraz większy profit polityczny, gospodarczy i społeczny.

Czasy zmieniły się. Pierwotne cele zostały dawno przekroczone i największemu pesymiście nie przyjdzie nawet myśl, że mógłby tu nastąpić jakikolwiek regres. Odwrotnie — wciąż wzrastającego zapotrzebowania na książkę nie jesteśmy w stanie w pełni zaspokoić.

Chodzi mi o opłaty raczej symboliczne — w wysokości, powiedzmy, jednego złotego miesięcznie od czytelnika. Za co? Za to, że za tę złotówkę dostaje do przeczytania niemal na każde żądanie książkę, jaką tylko sobie wybierze, od „Trenów" imć pana Kochanowskiego począwszy, na „Ulissesie" skończywszy. Może za ową złotówkę przeczytać co miesiąc i pięć i dziesięć bestsellerów, za którymi inni daremnie uganiają się po wszystkich księgarniach.

Pozwolę tu sobie przytoczyć dwie liczby z ostatniego sprawozdania Woj. i Miejskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego: w 1969 r. biblioteki publiczne na Lubelszczyźnie miały 387 tys. stałych czytelników, a na zakup nowych książek wydały 4 321 tys. zł. Licząc teraz po złotówce miesięcznie, otrzymamy 4 644 tys. zł. A więc albo moglibyśmy podwoić zakupy, mając jeszcze nadwyżkę 320 tys. zł, albo wreszcie w ciągu dwóch lat zaopatrzyć wszystkie biblioteki i ich filie w odpowiednie wyposażenie, a w następnych dwóch latach urządzić czytelnie we wszystkich bibliotekach (teraz ma ją tylko co czwarta). A tak od ręki — dla przykładu — wymienić pękające stropy w Bibliotece Powiatowej w Tomaszowie, lub nie dopuścić do tego, co stało się w Zagrodzie w pow. chełmskim, gdzie bibliotekę niedawno przeniesiono do komórki bez pieca i bez światła elektrycznego. I jeszcze pozostałoby coś na zbiorowy prezent dla mieszkańców Stoczka Łukowskiego, gdzie — rzecz niemal nie do wiary — więcej niż co drugi mieszkaniec korzysta stale z biblioteki.

Aby jednak tradycji sprzeciwiania się i tym razem stało się zadość, wypada nie zgodzić się z jednym punktem uchwalonego już regulaminu Funduszu Rozwoju Kultury. Można mianowicie przeczytać w punkcie 9, że środki rozwoju przeznacza się m. in. na „udzielanie pomocy finansowej na politechnizację wśród dzieci i młodzieży szkolnej, zwłaszcza szkół artystycznych". Nie jestem przeciw politechnizacji, odwrotnie — niemal wszędzie będę się wypowiadał za. Właśnie — niemal, bo tym razem nie. Może to było jakieś ustępstwo wobec tych kontrahentów funduszu, na których finanse się liczy, może zbyt chyba szerokie rozumienie korzyści, jakie niewątpliwie daje politechnizacja. Ale przecież trzeba znaleźć granice między techniką, oświatą i kulturą i to właśnie wtedy, gdy tworzymy Fundusz Rozwoju Kultury. Gdyby przyjąć proponowaną zasadę, to przez analogiczne rozumowanie dojdziemy do tego, że powinniśmy z tego funduszu kupić odzież ochronną dla robotników produkujących ławki szkolne, „zwłaszcza" że niektóre z nich trafią do szkół artystycznych.

Niezależnie od tego drobnego zresztą sprzeciwu Funduszowi Rozwoju Kultury życzyć trzeba wszelkiej pomyślności, co oby się przejawiało najpierw w napęcznieniu jego konta, a potem w osiągnięciach merytorycznych — dalszym uzupełnianiu naszej bazy materialnej, dalszym upowszechnianiu kultury we wszelkich jej formach, wzbogacaniu i podnoszeniu jakości tych form.

Jerzy Dostatni

Mecenasie kultury prosimy do dzieła

Dekret z 26 sierpnia 1945 r., powołujący do istnienia — jako jedną uczelnię — Uniwersytet i Politechnikę we Wrocławiu z rektorem prof. dr St. Kulczyńskim, był zapowiedzią pełnej normalizacji życia szkół wyższych miasta. W tym też miesiącu dr Henryk Kuczyński habilitował się: była to jedna z trzech pierwszych w Polsce Ludowej habilitacji, uzyskana na podstawie pracy napisanej tuż przed wybuchem wojny. Ci, „co się nie bali trudu i własnego potu", zaczęli nad Odrą „robić historię".

W pierwszym roku akademickim dwuczłonowa uczelnia posiadała zaledwie 12 samodzielnych pracowników nauki oraz 499 studentów. Dzisiaj Wrocław jest trzecim w kraju ośrodkiem szkolnictwa wyższego, skupiającym na 8 uczelniach więcej niż 22 tys. studentów. Kadra pracowników nauki liczy 3 tys. osób, czyli tyle, ile było wszystkich studentów w przedwojennym Wrocławiu. Matematyka i zastosowania matematyki, chemia i technologia chemiczna, medycyna i kardiochirurgia, fizyka teoretyczna, antropologia i geografia — oto „wrocławskie" dyscypliny o znaczeniu międzynarodowym.

Od początku swego istnienia Politechnika była bazą naukową przemysłu Dolnego Śląska. Z dorobku jej naukowców korzystał symbol Wrocławia lat czterdziestych i pięćdziesiątych — Państwowa Fabryka Wagonów, a przede wszystkim uruchomione w 1959 r. Wrocławskie Zakłady Elektroniczne — „Elwro", żeby ograniczyć się tylko do tych dwu sztandarowych przykładów.

Zakłady spółki akcyjnej „Linke — Hofmann — Werke", na których miejscu powstał polski „Pafawag", produkowały w czasie wojny czołgi, pociągi pancerne i części do pocisków V-2. Podczas oblężenia zostały one zniszczone w 80 proc.; przez teren zakładów przebiegała linia frontu. Polacy przejęli zaminowane rumowisko 18 lipca 1945 r., ale już pod koniec sierpnia pracowało w „Pafawagu" ponad 200 osób, głównie z przedwojennej fabryki wagonów „Lilpopa" w Warszawie, a w grudniu — ponad 1 400. Miesiąc później, 26 stycznia 1946 r., fabryka przekazała Polskim Kolejom Państwowym pierwsze 100 wagonów towarowych. W uroczystości uczestniczył gość honorowy, wicepremier i minister Ziem Odzyskanych Władysław Gomułka.

Plac Solny 1969

W 1948 r. „Pafawag" produkował 800 węglarek miesięcznie, podczas gdy niemieckie „Linke — Hofmann — Werke" nigdy nie przekroczyły połowy tej liczby. Obecnie zakład produkuje rocznie: 70 lokomotyw elektrycznych, 40 wieloczłonowych jednostek elektrycznych, 80 wagonów osobowych i usługowych i 7 tys. wagonów towarowych. Autorzy tych osiągnięć to w znacznej części absolwenci Politechniki Wrocławskiej.

WZE „Elwro" to z kolei miejsce narodzin polskiego przemysłu elektronicznego. Zakres i profil produkcji obejmowały początkowo tylko elementy techniki telewizyjnej, później rozszerzyły się na urządzenia automatyki przemysłowej (m. in. cukrownia „Werbkowice" na Lubelszczyźnie pracuje na urządzeniach z „Elwro"), aby dojść ostatecznie do elektronicznych maszyn cyfrowych — od prostego komputera UMC-1, do „Odry 1204", która posiada pamięć ferrytową o pojemności 16000 słów, ewentualnie również pamięć tzw. bębnową o pojemności 250 000 słów, posiada szybkość operacyjną 50 000 operacji na sekundę i nadaje się do średniotrudnych i skomplikowanych obliczeń naukowych i technicznych. „Elwro" szykuje nową „Odrę" — 1300, należącą już do maszyn klasy dużej.

Aktualnie cały przemysł Wrocławia daje ok. 3 proc. produkcji krajowej, plasując się na czołowych pozycjach w przemyśle metalowym, elektronicznym, chemicznym, odzieżowym i spożywczym. Przed wojną Dolny Śląsk nie posiadał perspektyw rozwojowych, był tylko zapleczem surowcowym i żywieniowym Niemiec.

Pierwszy okres istnienia Politechniki mieści datę niezwykle ważną, przypominającą o polskiej aktywności na arenie międzynarodowej. 25 sierpnia 1948 r. w auli uczelni otwarto Światowy Kongres Intelektualistów, który zgromadził taką plejadę znakomitości — Picasso, Erenburg, Szołochow, Huxley, A. Seghers, Fadiejew i in. — że nigdy i nigdzie później nie udało się doprowadzić do podobnego spotkania w tak świetnym gronie. To się mogło udać raz, nie więcej.

Kongres stał się politycznym szlagierem, zwrócił uwagę świata na polski Wrocław, pozyskał nam wielu przyjaciół. Ale był również szlagierem towarzyskim, o czym godzi się wspomnieć, ponieważ charakter spotkania miał niewiele wspólnego z koturnami. Uczestnik Kongresu, prof. dr Henryk Kuczyński wspomina, jak to na bankiecie w „Monopolu", kiedy Broniewski recytował wiersze z sanskrytu, wstał nagle Pablo Picasso, zdjął koszulę i jakby nigdy nic ponownie usiadł — goły do pasa. Głośno o tym wydarzeniu było w mieście, tym bardziej, że wówczas do „Monopolu" nie wpuszczano gości choćby bez krawata. Żona profesora dość długo wspominała Kongres, ale z przyczyn bardziej osobistych: pięć obrusów, które pożyczyła organizatorom, ulotniło się jak kamfora. *To był jej wkład w Światowy Kongres Intelektualistów, jak później żartowała.*

Prof. dr Henryk Kuczyński, współpracownik nieżyjącego już prof. E. Suchardy, wieloletni dziekan wydziału chemii, członek — korespondent PAN — wykształcił i przekazał wrocławskiej gospodarce setki dyplomowanych fachowców. Równocześnie — poza dydaktyką i pracą naukową nad własnościami i syntezą terpenów — ujawnił się jako energiczny działacz społeczny, od schyłku 1959 r. przewodniczący Wrocławskiemu Komitetowi Frontu Jedności Narodu. Pochodzi z Suwalszczyzny, studiował i przebywał przez dobrych parę lat we Lwowie, mieszkał w Krakowskiem. Kim się czuje?

Jestem wrocławianinem. Jak inni przybysze z odległych stron Polski — mówię to na podstawie wieloletniego doświadczenia — uważam Wrocław za swoje miasto. Nie odczuwam żadnych resentymentów, tu urodzili się moi synowie, dorodni, jak w ogóle młodzież wrocławska. Szesnastoletni jest zaledwie o 2 cm niższy ode mnie, a starszy przerósł ojca o 7,5 cm. (Tak na oko profesor ma 1,80 m wzrostu — uw. aut.). *Ćwierć wieku temu miasto było mieszaniną regionalno-obyczajową. Ale dziś z powikłanej zbiorowości krakowiaków, wilniaków, lublinian, kielczan, Łemków, Ślązaków, białostoczan i warszawiaków wykształcił się typ „człowieka wrocławskiego", o dużym poczuciu społecznej wspólnoty i odpowiedzialności. Wartość czynów społecznych, zgłoszonych do tej pory z okazji ćwierćwiecza powrotu Wrocławia do Macierzy, wynosi ok. 100 mln. zł.*

* * *

Nikt mnie nie wystraszy z Wrocławia żadnymi bombami czy rakietami. Urodziłem się w Warszawie, tam przed wojną pracowałem jako kierowca, tam do dziś mieszka moje rodzeństwo, ale odwiedzam je dość rzadko: po 2—3 dniach mam ochotę wracać do Wrocławia — mówi Lucjan Lipiński, 59-letni kierowca Wrocławskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa", związany z tą instytucją od 23 lat.

Po kampanii wrześniowej wywieziony do Niemiec, pracował w majątku rolnym; przez pewien czas przebywał w obozie karnym. Zaraz po upadku Rzeszy wrócił do kraju pierwszym transportem b. jeńców wojennych, choć anglosasy agenci wabili mirażami wielkich zarobków w Kanadzie. W gruzowiskach Warszawy udało mu się odszukać brata. Wszedł do mieszkania po drabinie, rozejrzał się i zrozumiał, że jeszcze jedna osoba w tej klitce, to trochę za dużo. A była z nim jeszcze żona. Zszedł tą samą drogą i pojechał do Wrocławia. W ciągu 24 godzin otrzymał pracę kierowcy w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym i przydział na mieszkanie, tzw. order.

Wszystkie soboty i niedziele roku 1945 i następnych kilku lat spędzał przy odgruzowywaniu miasta. Zebrane przez niego cegły tkwią być może w jakimś budynku warszawskim; w 1949 r. Wrocław dostarczył stolicy 360 milionów sztuk cegły rozbiórkowej.

Po dwóch latach przeszedł do „prasy".

Lucjan Lipiński mieszka z żoną, dwoma synami i córką w piętrowym budynku przy ulicy Spółdzielczej, na który kiedyś otrzymał „order". W przydomowym ogródku uprawia 3 drzewka owocowe i kwiaty, ma też swoją działkę w ogródkach pracowniczych.

Córka Lipińskiego pracuje na Politechnice, studiując równocześnie zaocznie chemię. Synowie — jeden jest uczniem zasadniczej szkoły frezerskiej w „Dolmelu", drugi pracuje w wydziale doświadczalnym tego zakładu, po ukończeniu przyfabrycznej szkoły spawalniczej.

Lipiński został odznaczony „Medalem X-lecia" i „Srebrnym Krzyżem Zasługi". Jest „Budowniczym Wrocławia".

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 7

Tartufe playboyem

Maria Bechczyc-Rudnicka

To jeszcze Sainte-Beuve, zdaje się, powiedział, że obcowanie z Molierem zraża nas nie tylko do tego, co mu było niemiłe w jego epoce, ale również i do wszystkiego, co potępiłby w czasach naszych. Od dawna pojęcie o trwałej aktualności dzieł autora „Świętoszka" należy do truizmów, których powtarzanie jest po trosze żenujące. Lecz wiek nasz ma swój sposób na truizmy: unicestwia je zaprzeczając prawdom, które prezentują.

Tak więc, zdawałoby się, nie ma obiektywnej potrzeby „przybliżać" aktualnego trwale Moliera do współczesnego nam widza, atoli przybliżanie klasyków stało się jakby psychicznym nakazem dla większości reżyserów drugiej połowy XX stulecia, ich najukochańszym hobby. A że nec Hercules contra... hobbies, tedy okazuje się, iż nie ma już raczej żadnego praktycznego sensu kwestionować samej zasady „przybliżania" i pozostaje nam w poszczególnych przypadkach stwierdzenie, w jakim stopniu przybliżając Moliera do dzisiejszych widzów oddalono się od jego własnych intencji. Tak też postąpimy w stosunku do „Świętoszka", świeżo wystawionego na scenie Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

O „Świętoszku" wszyscy wiedzą wszystko, a mianowicie, że występną cechą charakteru ludzkiego, która najwięcej dała się we znaki Molierowi, była niewątpliwie obłuda. Ją właśnie napiętnował w jednej z najlepszych swych komedii. I w tym jest sedno nieprzemijającej aktualności „Tartufa". Inne wady ludzkie są bardziej indywidualne lub klasowe, stanowią znamię czasu bądź miejsca, obłuda jest uniwersalna, łatwo kojarzy się z różnymi przywarami i służy do ich maskowania.

O „Świętoszku" wszyscy wiedzą wszystko, a mianowicie m. in. i to, że Molier zaatakował w głównej mierze obłudę podszywającą się pod pobożność, bo były to właśnie czasy zażartej walki dialektycznej między jansenistami i jezuitami, równie nietolerancyjnymi, nie dającymi ludziom żyć w imię „interesów nieba". Janseniści drażnili pisarza oschłym purytanizmem i pedanterią, jezuici metodami kazuistycznymi. W ogóle zaś miał Molier na pieńku z duchowieństwem, które sformułowało pojęcie o grzechu poniżające „komedianta" w ówczesnej opinii publicznej. W innych warunkach skierowałby Molier niewątpliwie całą swoją energię przeciw różnym fałszerzom świeckich ideałów i dlatego wystarczy podjąć broń, którą daje przeciw fałszowi i obłudzie, by „Świętoszek", pojmowany czy dosłownie, czy metaforycznie, okazał całą swoją żywotność.

O tym wszystkim wszyscy wiedzą i Piotr Paradowski, reżyser lubelskiego spektaklu, z pewnością też wie doskonale. Tylko chwilowo nie chce wiedzieć.

Bo p. Paradowski, którego na okres zainscenizowania „Świętoszka" wypożyczył Lublinowi Teatr „Wybrzeże", ma w swym dorobku szereg aprobowanych przez krytykę inscenizacji, jak „Taniec śmierci" Strindberga, „Oresteja" Ajschylosa, Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały", i będąc ambitnym reżyserem nowoczesnym nie może ograniczyć się do skromnego osiągnięcia reżyserskiego na marginesie twórczości Moliera. Tedy wiele rzeczy w „Świętoszku" musi wyglądać w spektaklu inaczej niż w oryginale, tedy ten najgorszy to nie obłudnik, szalbierz Tartufe, tylko ...Orgon, gdyż — jak komentował swoją koncepcję w pewnym wywiadzie p. Paradowski — Orgona zaślepienie, jego upór, ma niby to dużo wspólnego z doktrynerstwem, które jako zjawisko antyhumanistyczne jest dla społeczeństwa szczególnie groźne. Ejże! Coś mi ta koncepcja zalatuje wczorajszym etapem. Ale gdyby nawet przyjąć jej wątpliwą aktualność, to co by nam w praktyce dała, prócz kiwania palc... pardon — kiwania metaforą (niestety dość szeroko dziś uprawianego). Nie, w istocie kardynalną, najaktualniejszą sprawą „Świętoszka" była, jest i chyba długo jeszcze będzie sprawa obłudy, dwulicowości, samolubnego asekuranctwa, fałszowania najszczytniejszych ideałów. Dlatego trudno mi przystać na koncepcję Piotra Paradowskiego, ciekawą, lecz podważającą najistotniejszą aktualność autentycznej komedii Moliera.

Molier „Świętoszek". Elmira — Maria Karchowska, Tartufe — Piotr Wysocki.
Foto.: W. Parys

Muszę wszelako przyznać, że niebanalne przedstawienie Paradowskiego jest w stosunku do swej naczelnej myśli bardzo konsekwentne. A więc Orgon, odziany na czarno, stał się tu dostojnym ponurakiem, który nie pozwala widzowi na najlżejszy uśmiech. Gra go Krystyn Wójcik, świetny aktor, ale chyba nie do tej roli w normalnej molierowskiej koncepcji. Dalej: świętoszek młody i zgrabny playboy — to już zdecydowanie supernowość! W postać Tartufa wcielił się Piotr Wysocki i otrzymaliśmy hipokrytę całkiem trafnego w intonacjach i mimice, którego warunki czynią jednak tak dalece atrakcyjnym, iż obawiam się naprawdę, by wszystkie licealistki przyglądające się jego poczynaniom z Elmirą nie zadurzyły się w nim na zabój. Nie lada kłopot będą mieli wykładowcy literatury.

Nader swobodnie też zmodernizował Paradowski postać Elmiry. Owszem arcyponętnie wyglądała Maria Karchowska z ultradekoltem w stylu Louis XIV i w spódniczce z rozcięciami według wskazań nowoczesnych musichallów, ale posłuszna reżyserowi — traktuje ona Tartufa z całkiem niedwuznaczną, daleko posuniętą zalotnością, na co w molierowskim tekście absolutnie nie ma pokrycia. Nie ma tam również pokrycia na dość ryzykowne igraszki miłosne Marianny i Walerego (na proscenium), skądinąd uroczej pary zakochanych w wykonaniu Ewy Kani i Tadeusza Kuduka.

Jest rzeczą jasną, że ustawienie tyranii ojcowskiej Orgona nie jako pospolitej cechy obyczajowej jego czasu, lecz jako spotęgowanej, indywidualnej cechy charakteru, że następnie zaakcentowanie obustronnego pociągu erotycznego w scenach Elmiry z Tartufem — że te zabiegi reżyserskie musiały zlikwidować sporą część humoru komedii. Tak że w sumie szczerym dowcipem iskrzyła się ona tylko tam, gdzie prowadzi nie tajęta modernizacją Doryna, którą z wdziękiem i licie molierowską swadą odwarza Zofia Stefańska.

W tonacji klasycznej została też utrzymana postać Pani Pernelle. Elżbieta Święcicka potrafiła tedy nadać tej matronie z haute bourgeoisie dostateczną dozę krewkości i zacietrzewienia, zachowując zarazem postawę godną i estetyczną. Molierowski był też Józef Onyszkiewicz jako woźny trybunału, Pan Zgoda, w miarę łaszący się, w miarę groźny, na ogół śmieszny, o co właśnie chodziło. Dobrym słowem trzeba wspomnieć poza tym Damisa, którego Ludwik Paczyński ożywia skutecznie, bez cudów i odziwniania. Kleant także był człowiekiem — w interpretacji Andrzeja Chmielarczyka. Tyle że to tchnięcie życia w postać rezonera odbyło się kosztem skreślenia sporej porcji monologów, a ja mam nieśmiałe marzenie, by jakiś aktor zechciał przejąć się kiedy treścią tych tyrad, w których Molier wypowiedział niejedną cenną dla niego myśl.

Drewniany, diabelnie czarny Flipot, w którego przemieniła się głupawa służąca, Flipota, jest nic nie znaczącą zachcianką reżysera, na szczęście — migawkową.

Ale przed czym, odwrotnie, chapeau bas — to przed finałem tego „Świętoszka"! Tu Piotr Paradowski zaiste pokazał swój lwi pazur utalentowanego inscenizatora. Sam Molier by przyklasnął Oficerowi straży książęcej — ni to Lohengrinowi, ni to archaniołowi z dzwoneczkami ministranta, trzepocącemu urękawicznionymi dłońmi niczym skrzydełkami. I wielkie brawo dla Zbigniewa Szczapińskiego za wykonanie epizodu, za „promienną" postawę, za dowcipne podanie „drętwej mowy", którą Molier musiał ratować swoją komedię w jego trudnych czasach.

Co do scenografii Jadwigi Pożakowskiej, to, prawdę powiedziawszy, wydała mi się zbyt cukiernicza, ale była w tym może wypieszczona koncepcja: „Symphonie en blanc et noir" — od strony estetycznej, od strony zaś treści — sprawa „perfidnego lakiernictwa", którym „moralnie rozkładająca się rodzina burżuazyjna maskuje swoje grzeszki"?

A wracając do kwestii ogólniejszej natury pragnę dodać, że daleka jestem od obrony rzekomego stylu molierowskiego, który utarł się na scenach świata. Bronię Molierowego dzieła pisanego. Wydaje mi się, że najlepiej je dzisiaj interpretuje w teatrze chyba Planchon. Kto wie, czy nie robi tego wierniej niż sam Molier, który na scenie pokazywał życie w kostiumie epoki.

I jeszcze jedno: spektakl Piotra Paradowskiego jest wprawdzie niewierny Molierowi, aktualizujący treści molierowskie tylko pozornie, ale jest to spektakl ciekawy, dyskusyjny, który powinien obudzić z letargu lubelskie życie teatralne. Zobaczylibyśmy chętnie w inscenizacji Paradowskiego jakąś sztukę nowoczesną.

Z przeszłości kulturalnej Lublina

„Harmonia"

Maria Gawarecka

Niezależnie od istniejącego od roku 1898 Towarzystwa Muzycznego, wśród grupy obywateli miasta Lublina powstaje w początkach XX wieku projekt założenia bardziej powszechnego towarzystwa krzewienia kultury muzycznej i artystycznej. Miało ono ogarnąć swym zasięgiem całe miasto, a szczególnie „sfery robotnicze", oraz dbać o upowszechnianie muzyki popularnej, łatwej i bardziej dostępnej szerokim masom. Ponadto miało krzewić zamiłowanie do śpiewu i muzyki, literatury i sztuk pięknych oraz dostarczać „szlachetnych rozrywek". W celu rozszerzania horyzontów umysłowych przewidywano również odczyty o treści literackiej i popularnonaukowej, konkursy śpiewacze, wystawy dzieł sztuki itp.

Napływowi członków miała sprzyjać stosunkowo niska składka, bo wynosząca 25 kop. miesięcznie. W przeciwieństwie do wyższej składki w Tow. Muzycznym, wynoszącej 8 rb. rocznie.

Głównymi organizatorami byli: Adam Szlendak — muzyk i kompozytor lubelski, doktor Włodzimierz Talko — społecznik i zamiłowany reżyser sztuk teatralnych, Adolf Wolny — właściciel składu instrumentów muzycznych, Władysław Walentowicz i Roman Osiński.

12 maja 1908 roku Lubelskie Towarzystwo Muzyczne „Harmonia" zostało zatwierdzone przez władze gubernialne. Uroczyste otwarcie odbyło się 12 lipca 1908 roku w lokalu wynajętym przez Towarzystwo — dawnym teatrze „Rusałka". Do licznie zebranej publiczności przemówił dr Włodzimierz Talko, podkreślając, że „Harmonia" będzie skupiać ludzi *przeważnie ciężko na kawałek chleba powszedniego pracujących, którym nieprzyjazne warunki nie pozwoliły dotąd rozwijać się swobodnie...* Tutaj natomiast znajdą *godziwą, uszlachetniającą rozrywkę.*

Jeszcze przed otwarciem przystąpiono do zorganizowania sekcji muzycznej z chórami męskim i żeńskim oraz orkiestrą amatorską. Dyrektorem orkiestry i chórów został początkowo Adam Szlendak, później w 1911 r. krótko na tym stanowisku był Grzybowski, a od 1 września tego roku Gustaw Jerzyna-Czernicki. Utworzono również komisję teatralną pod przewodnictwem dr Włodzimierza Talko, która miała się zająć zorganizowaniem amatorskiej trupy dramatycznej. Po dwóch latach uległa ona reorganizacji i w 1911 r. powołano nową sekcję teatralną z inną grupą amatorów, która rozpoczęła swoją działalność od wystawienia „Chaty za wsią" z muzyką Noskowskiego, w obsadzie około 80 osób.

Na czele Towarzystwa „Harmonia" stał zarząd, którego pierwszym prezesem był Wilhelm Hess, właściciel Fabryki Wag, wiceprezesem Adolf Wolny, sekretarzem Stanisław Matecz, bibliotekarzem Jan Łysakowski, gospodarzem Stefan Homa i skarbnikiem Aleksander Zawadzki, właściciel składu szyb i szkła. W 1910 r. prezesem został Jan Markowicz i na tym stanowisku pozostał właściwie do końca trwania Towarzystwa. Był on pracownikiem fabryki W. Hessa, należał również do zarządu Tow. Przyjaciół Teatru Polskiego w Lublinie, gdzie był sekretarzem.

Towarzystwo „Harmonia" rozwinęło nader różnorodną działalność. Organizowano popularne koncerty oparte o własną orkiestrę i chóry, przedstawienia teatralne, zabawy, bale, majówki, lekcje tańca dla członków i ich rodzin, wieczory pieśni i humoru, wreszcie odczyty o rozmaitej tematyce. Wśród wycieczek wypoczynkowo-rozrywkowych były i takie, które miały uczyć i rozszerzać wiedzę również w dziedzinie sztuki. Taką była np. wyprawa do majątku Eugeniusza Sokołowskiego Sieprawki pod Garbowem dla obejrzenia jego zbiorów malarstwa.

W celach samokształceniowych projektowano również zorganizowanie popularnych wykładów z fizyki i literatury, które mieli poprowadzić nauczyciele szkół lubelskich. Nie uzyskano jednak zgody władz gubernialnych. Z czasem podjęto również czytanie celniejszych utworów literatury polskiej na tzw. Wieczorach Czytania, które rozpoczęto od poematów „Prometeusz" i „Syzyf" Marii Konopnickiej.

Z żywym oddźwiękiem w miejscowej prasie i opinii publicznej spotkała się zorganizowana w lutym 1911 r. w salach Szkoły Artystycznej Bronisławy Karpowiczówny wystawa prac kobiet. Przewidywana wystawa wyrobów rzemieślniczych majstrów miejscowych ze względów finansowych nie doszła do skutku.

Z myślą o kulturalnych rozrywkach zawarto umowę z dyrektorem teatru Henrykiem Czarneckim, aby w każdą środę tygodnia odbywały się przedstawienia teatralne po cenach zniżonych dla umożliwienia członkom i ich rodzinom, jako też szerszemu ogółowi mniej zamożnych ludzi, a w ich liczbie rzemieślnikom i pracownikom fabryk, bywanie w teatrze. Uzyskano również dla członków możność wstępu po cenach zniżonych na przedstawienia Bioskopu.

Dla poszerzenia zainteresowań książką otworzono w lokalu Towarzystwa czytelnię i bibliotekę, której księgozbiór, pochodzący przede wszystkim z darów, liczył w 1910 roku 1 200 tomów.

Ze względu na zatarg z właścicielem posesji dawnej „Rusałki" przy ul. Zamojskiej 39, „Harmonia" przenosi się w roku 1910, przejściowo zresztą, do domu przy ul. Rynek 17, a w 1911 r. uzyskuje obszerną siedzibę przy ul. Królewskiej 15 po dawnej Filologicznej Szkole Lubelskiej. Był to lokal przestronny, z wielką salą na koncerty, przedstawienia, odczyty, rauty, zebrania i zabawy towarzyskie. Towarzystwo nosiło się nawet z zamiarem utworzenia tutaj swego kinematografu *który by łączył przyjemność z nauką.*

Poczynania Towarzystwa często komentowane były w prasie. Pisano, że *poprzez dużą prężność i ruchliwość „Harmonia" odbija od naszych sennych stowarzyszeń, dążąc wytwale do przekształcenia się w ognisko życia towarzyskiego i kulturalnego dla najszerszych warstw ludności i że powinno się spotkać z sympatią i poparciem ogółu niezależnie od przekonań politycznych i społecznych* („Kurier" 1911 nr 131).

A jednak mimo swej popularności i szerokiej działalności Towarzystwo „Harmonia" stanęło wkrótce przed kryzysem finansowym. Wpływy ze składek nie wystarczały, a imprezy okazały się w dużym stopniu deficytowe. Zmusiło to zarząd do obmyślenia sposobów ratowania zachwianej egzystencji. W odezwie do członków (było ich początkowo ponad 1 200, po 3 latach ok. 450) podano, że aby utrzymać Towarzystwo, pozostają dwie możliwości — albo pójść za przykładem innych towarzystw i zaprowadzić w lokalu gry w karty, albo wynaleźć specjalne fundusze dla terminowych zobowiązań.

Na skutek nacisku opinii publicznej na zebraniu ogólnym w czerwcu 1912 r. odrzucono wniosek o wprowadzenie kart jako nie licujący z założeniami Towarzystwa. Byłby to, jak pisano, *krok wstecz... dążący do demoralizacji członków.* Z pomocą doraźną przyszło ostatecznie liczne grono miejscowych obywateli i przemysłowców, którzy zapisali się na członków popierających na przeciąg trzech lat, deklarując ogółem tysiąc pięćset rubli rocznie.

„Harmonia" spotykała się niejednokrotnie z ostrymi uwagami i zarzutami ze strony prasy, zarówno postępowej jak i zachowawczej, co do poziomu i jakości organizowanych imprez kulturalnych i wyboru przedstawień teatralnych. „Ziemia Lubelska" w jednym z numerów poucza komisję teatralną, że powinna zwrócić baczniejszą uwagę na wybór sztuk, jeżeli chce traktować swoje zadanie poważnie — *z desek „Harmonii" powinno przemawiać do słuchaczów żywe serdeczne słowo, myśl podniosła i szlachetna, dowcip perlisty lub żart dowcipny.* („Ziemia Lubelska" 1908 nr 328).

„Kurier" w numerze 33 z 1911 r. podnosząc sprawę poziomu literackiego zwraca szczególną uwagę na rozbieżność głoszonych haseł demokratycznych z treścią widowisk. Na przykład w związku z popularnymi przedstawieniami w teatrze duże wątpliwości, wg „Kuriera", budził wybór słabej literacko sztuki Krzywoszewskiego „Przywódca", której kwintesencją było, że nie należy urządzać strajków i słuchać agitatorów. Tym samym, pisze „Kurier", Towarzystwo dało *dowód tendencji, które w nim panują.* Zresztą trudno się temu dziwić, piszą dalej, jeżeli *temu robotniczemu Towarzystwu łaskawie patronują fabrykanci, a ci panowie bardzo roztropnie czynią, traktując swoich ludzi takiemi przedstawieniami.*

Tego rodzaju tendencje w „Harmonii" uwidoczniły się w selekcjonowaniu kandydatów na członków; odrzucono kandydatury kelnerów, na co zwrócił uwagę „Kurier" w nr 84 z 1911 r. pytając *czy w stowarzyszeniu demokratycznym może się spotkać chłop, szlachcic, kelner i fabrykant?* Towarzystwo „Harmonia" skupiało, jak pisał dalej „Kurier", *majsterków, lepiej płatnych robotników i zorganizowane było przez fabrykantów i ich zauszników* („Kurier" 1916 nr 29).

W styczniu 1913 r. siedzibę Towarzystwa „Harmonia" zajęło wojsko, ćwiczenia chórów zostały przerwane, a zespół teatralny przeniósł się z próbami przygotowywanej wówczas komedii Przybylskiego „Wicek i Wacek" do prywatnego mieszkania intendenta Towarzystwa, Kacperowskiego.

W „Kalendarzu Lubelskim" z roku 1916 już nie figuruje w zestawieniu stowarzyszeń lubelskich.

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok VI Marzec 1970 Nr 16

Wycinanka lubelska Sabiny Derkaczewskiej z Zagrody w pow. krasnostawskim

I co dalej?

(Artykuł dyskusyjny)

Stanisław Weremczuk

Po niespełna dwuletnim okresie działalności Stowarzyszenie zaczyna krzepnąć. I to nie tylko dlatego, że inicjatyw jest coraz więcej, a kontakt Zarządu z członkami — częstszy i ściślejszy. Przede wszystkim skrystalizowało się w Radzie Naukowej poważne grono osób, które swoją wiedzą, autorytetem i doświadczeniem społecznym wsparło poczynania samych twórców, utwierdziło w słuszności drogi, którą obrali. Po wtóre — idea zorganizowanego ruchu twórczości ludowej znajduje coraz żywsze zainteresowanie społeczne, a co ważniejsze — poparte faktami. Przykład stanowi tu uchwała CRS zalecająca spółdzielczości wiejskiej poparcie finansowe Stowarzyszenia, współdziałanie z nim oraz otaczanie twórców ludowych efektywną opieką. Podobnych przykładów jest więcej.

Oznacza to, że STL z okresu improwizacji, barwnej co prawda, ale nie zawsze przynoszącej dojrzałe owoce, przechodzi do wyważonej i systematycznej działalności. Atmosfera jest sprzyjająca. Wystarczy wydzielić sobie trochę czasu i dokładnie przejrzeć wszystkie pisma periodyczne i codzienne, aby upewnić się w tym przekonaniu. Okres dwu tygodni uważnemu czytelnikowi przyniesie pokaźny plik wycinków. Ostatnio dyskusję o folklorze i twórczości ludowej rozpoczęła nawet „Współczesność", której przecież ta problematyka dotąd była obca.

Uważny czytelnik dojdzie jednak i do drugiego przekonania — wszelkie rozważania, dyskusje i dywagacje na łamach prasy toczą się bez udziału samych twórców. Tak, jak by ich nie było.

Wiele w tych wypowiedziach sympatii, troski i prób poważnych analiz czy horoskopów, ale też wiele powierzchowności, sądów pochopnych wydawanych na podstawie zerknięcia w okno Cepelii w drodze na kolejną konferencję, bo przecież na poważną penetrację w głębokim terenie ciągle nas nie stać.

Podobne opinie spotkać można również w stosunku do Stowarzyszenia, chociaż tym razem nie w prasie, ale w wypowiedziach słyszanych w środowiskach intelektualnych i twórczych.

To chyba dobrze, że opinie są kontrowersyjne. Żadna głębiej osadzona społecznie idea nie rodziła się bez zażartej dyskusji, a więc zwolenników i zdecydowanych przeciwników. Jednakże jest jedno „ale".

W niektórych rozmowach i listach od twórców ludowych — członków STL spotykam się z drażliwie postawionym pytaniem — i co dalej? Brzmi w nim nuta zawiedzionych nadziei co do łatwych i obszernych publikacji, czy organizacji korzystnego rynku zbytu. Innymi słowy — jak to ktoś sformułował — tęsknota za mieszczańskim prawem do literackiej kawiarni lub związkiem producentów' branżowych zazdrośnie broniących swoich praw.

Nie należy się temu dziwić, gdyż, niestety, model monopolu zawodowego na twórczość znalazł prawo obywatelstwa w Polsce Ludowej.

Tymczasem taka postawa obca jest duchowi i wiekowej tradycji twórczości ludowej. Ta tradycja nigdy nie tworzyła wąskich grup wyspecjalizowanych zawodowo a przeciwnie — niosła powszechność i integralne łączenie piękna z codzien-

Dokończenie na str. 10

Rozstrzygnięcie konkursu poezji ludowej

Zarząd Główny STL ogłosił w ubiegłym roku konkurs poetycki dla uczczenia 25 rocznicy powstania Polski Ludowej. Tematyka utworów mogła być dowolna, udział w nim mogli wziąć jednak tylko członkowie i kandydaci Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Mimo tego ograniczenia konkurs spotkał się z dużym zainteresowaniem, czego wymownym świadectwem jest fakt, że wpłynęło ponad 300 wierszy, przy czym — rzecz godna szczególnego podkreślenia — większość nadesłanych utworów reprezentowała wysokie walory ideowo-artystyczne. Zmusiło to organizatorów do zwiększenia liczby nagród i wyróżnień oraz zdopingowało do częstszego ogłaszania podobnych imprez również i w pozostałych dziedzinach twórczości ludowej. Nie wdając się w szczegółową ocenę nagrodzonych prac trzeba przyznać, że konkurs zakończył się bezdyskusyjnym zwycięstwem poetów krakowskich, którzy zgromadzili aż 6 nagród i wyróżnień (na ogólną liczbę 15), słabiej tym razem wypadła Lubelszczyzna (1 nagroda i 2 wyróżnienia). Charakterystyczny jest także fakt, że niemal wszyscy laureaci to ludzie (z małymi wyjątkami), którzy przekroczyli już 60 a nawet 70 lat życia.

A oto, jak przedstawiają się ostatecznie wyniki konkursu:

Jury w składzie: doc. dr Michał Łesiów — przewodniczący, mgr Stanisław Weremczuk — sekretarz oraz mgr Tadeusz Kłak i dr Roman Rosiak — członkowie — po zapoznaniu się z nadesłanymi materiałami postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę — w wysokości 1500 zł — Piotrowi Krzykalskiemu z Nowego Sącza (Godło „Kłos");

Dwie II nagrody — po 1000 zł — Hance Nowobielskiej z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ (Godło „Zingra") i Janowi Nadolnemu z Wielbarka, pow. Szczytno (Godło „Jala Nodyn");

Dwie III nagrody — po 500 zł — Stanisławowi Gąsienicy — Byrcynowi z Zakopanego (Godło „Koziołwiec") i Janowi Pockowi z Kalenia, pow. Puławy (Godło „ar");

Trzy wyróżnienia pieniężne — po 300 zł — Ignacemu Antoszowi z Kotomierza, pow. Bydgoszcz (Godło „Ziemowit"), Henrykowi Bilce z Andrychowa (Godło „Leskowiec") i Stanisławowi Buczyńskiemu z Kotorowa, pow. Hrubieszów (Godło „Krzak dzikiej róży").

Ponadto przyznano siedem wyróżnień książkowych, które otrzymali:

Melania Burzyńska — Jaświły, Stefan Cebulski — Rożnowo, Józef Ceynowa — Koronowo, Wanda Kościelniak-Czubernatowa — Raba Wyżna, Zygmunt Kupisz — Łany, Tadeusz Sieraj — Bielawa, Zbyszko Sławian-Orliński — Kraków.

Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym poetom serdecznie gratulujemy. Czytelników „Ziemi i Pieśni" zachęcamy natomiast do lektury zamieszczonych wierszy, stanowiących plon konkursu.

Piotr Krzykalski

Wiatr hucoł

Ćwierćwiece migło, kiebyś strzelul batem,
Teroz kraj przybroł na sie świyzą satę,
Płukaną świtem w gwiaździstych promykach,
Śladów po wojnie nie dojrzys juz ni kaj.

Wiatr począł huceć, kiedy przestoł jęceć:
Bierz, robotniku, fabryki w swe ręce,
A chłopi ziemię niek bierą magnatom!
Nadsedł cas zniwa, boć „Lipcowe' lato!

Niechaj w urzędach zasiado lud pracy,
Biydnych wprowadzać do jasnych pałacy,
Sercem wskazywać, jak Łojcyźnie służyć,
To sie nad Polską niebo nie zachmurzy.

Stało sie, jak wiatr nahucoł do głowy —
Przejęło serce i ze serc gmach nowy
Wyrósł logromny, co sięgo po gwiazdy,
By go ze wszyćkich stron podziwioł kazdy.

Kaj ciemność buła w domu cy na dworze,
Dziś jasno świycą jarzeniowe zorze
Po wsiach, po miastach w łocach wiedza rośnie,
Jak sie rozwijo kwiotecek ku wiośnie.

Po wioskach stoją domy logniotrwałe,
Srybrzone płoty, w izbach po powale
Meble, dywany w kolorach, jak tęca,
Cepy, kijonki w pracy prąd wyręca.

Strój na wsi w mieście ten sam jakby w jotę,
Jedwabie, futra i pierścienie złote,
Na pociesenie, by nie buło nudów,
Walce, polecki gro radio lo ludu.

Robotnik — chłopa pyto: jak cas leci?
Kaj tyz pracują teroz wase dzieci?

Ano, Małgośka indzinier — w Azotach,
Kaśka rwie zęby, to wprawio ze złota,
Jon książki pise lo naucycieli,
Kuba odległość gwiazd na niebie dzieli.

Jak uwozocie: cyja to zasługa?
Dyć robotników i chłopów łod pługa!

Nowy Sącz

Stanisław Gąsienica-Byrcyn

Orły

Pośród lasów tatrzańskich turni, regli, skoli,
Hań w lecie przy owieckach juhas watre poli,
Ka w poświacie miesiącka smreki cicho mrucom
I sowy na gałynzi swój hejnał zahucom.

Nocami sowy hucom, we dnie oreł leci,
A sum od jego skrzydeł śmiertelny strach nieci
W rodzie sarnów, świstoków i wartkiej kozice,
Co nie łynko sie w turniach zodnyj dujawice.

Ba, śmiało paczy w przepaść, raciom piorą przecino,
Casami i ku chmurom łep z rogem podgino,
Cy jak mo małe koźle oreł mu nie grozi,
Co nieroz w śmiełej kozie krew do cna zamrozi.

Kie ponad turnie świstem powietrze zawyje
I sierściom małyj kózki pazdóry przykryje,
Dźwigając swom ofiare na królewskie gody
Ponad limby, turnice, ka ślaki swobody.

Co ich przed ludzkim okiem chmura pozaciero,
To wte okup nolezny oreł powybiyro,
Siejąc strach pośród stworzyń na długie godziny,
A cisa we władanie zabiyro kotliny.

Zlybki turnie trowiaste i kosodrzewiny,
Co nie rzodko ś niej wijom wionek dlo dziywcyny,
Kie, lekceważąc zycie, ślakiem orła leci,
W orłach nieustraszonych zaś ona lęk wznieci.

Kiedy reśtki zbirajom granitym stargane,
Abo kie ku lawinie jadom z topagane,
Kazdy, co nisko chodzi, orłom nie dostoi
I dusa jego nigdy w błynkicie nie broi.

Bo jakos bedzie broić, kie jom ziym zatrzymie,
Wydźwignąć sie ni moze, temu w kącie drzymie.

Zakopane

Hanka Nowobielska

Zwonkowe serce

Pociarałak zie na serca kiesi
z filietowym, małym zwonkiem leśnym.

(Zwonek w zimie sarny zjadły z sianem,
a w nim — moje serce zacytane —).

Dziwne serce po tej mom odnowie —
cułe na nojmniejsy wiatru powiew.

I ni mogem sia nadziwić dosiel,
ze je takie zieleniate, rośnie —

Ze go z ziemią mocne trzymią więzy,
a raduje kozdy słonka przebłysk.

I nijako pedzieć nie wydolem,
kielo je łąkowe — kielo polne.

Nawet tego wyzdradzić tys nie śmiem,
ze uderzo młodo, świezo, leśnie...

Białka Tatrzańska
pow. Nowy Targ

Jan Nadolny

Będziem ćwerkać

Zakukała kukawełka na kruszy,
moją tylko,
ma mileńka,
być musis.
Moją tylko,
chabrooka dziewojo,
bedzies,
jak sie zytka bziało dostoją.
Jak się z ziemi kartofelki wybzierze
i obtłuce z lnu konopsi paździerze.
I jak siecke sie porobzi z kapusty,
i jak w krypsie kąpsiel weźmie
zieprz tłusty.
Prze Adwentem i przed Godów gziazdecką
będziem ćwerkać,
najmilejsa,
w gniazdecku.

Wielbark
pow. Szczytno

Jan Pocek

zostanie serce

o nie zabierze sam bóg
swoją ogromną miłością
mojego serca z tych pól
pszenicom owsom

z chaty ojczystej wioski
miedzami w głąb pól płynie
by cieszyć się szczęściem wieczności
w sinym łubinie

i będzie śpiewać zbożom
wyszedłszy jak żuraw na rozstaj
jak pięknie jak szumnie jest w polu
gdy światem idzie wiosna

Kaleń, pow. Puławy

Samodzielny dodatek „Ziemia i Pieśń" redaguje dr Roman Rosiak

Ignacy Antosz

Wieczorem...

Daleką pól samotność
zapala źrenic bieg,
odchodzi codzienny kłopot
na horyzontu brzeg.

Wysrebrza wieczorna rosa
pól odrodzonych dal,
a smutku szary osad
zanika w tęczy barw.

Z odległej łąk doliny,
z przysiadłym nad ziemią chłodzie,
znajomy ptak z tarniny
przednocną wyjawia spowiedź.

Kotomierz, pow. Bydgoszcz

Henryk Biłka

Gorzeniowska ballada

Emilowi Zegadłowiczowi

Do Gorzenia
— do tego Murowańca,
co bielą błyska od drogi,
przez stare parku drzewa
— przychodzi wesoła gromada:
beskidzkie powsinogi.

Za nimi wiotkie panny
wnet przyskoczą znad Skawy:
dziewanny.

I — zanim się spostrzegą
diabły, co w Gorzeniu
sieni strzegą
— już dają pląsów początki.

A z nimi Wowrowe świątki
przybyłe z muzealnej sali
z organkami,
skrzypeczkami.

I tak cała ta gromada
hula, śpiewa, opowiada
i na instrumentach grają,
kolędziołki odprawiają.
Zimą, wiosną czy też w lecie,
lub gdy liście z drzew spadają,
oni jakby nic na świecie
— grają i się obyrtają,
całują się, obłapują
— całą zgrają.
Potem pędzą przez pokoje,
to samotnie, to we dwoje,
albo i całą gromadą.

A palce na ustach kładą,
gdy przed jedną izbą staną
i cichutko na paluszkach
pod drzwiami się posuwają...
— czy mistrz Emil na poduszkach
swą strudzoną złożył głowę?
— czy w kałamarz pióro wkłada
i wiązaną pisze mowę?
— czy w fotelu cicho siada...
może tworzy się ballada
w myśli zanim z pióra spłynie?
Cicho... tylko na paluszkach,
cicho zbliżyć się do łóżka,
lub jak na anielich piórkach
bezszelestnie tu, do biurka,
cicho z palcami na ustach
stoją w progu.
Cóż to?! W pokoju nikogo?
Cisza niczem niezmącona,
izba pusta...
tylko ona
— jego muza siedzi smutna
a na ścianach blędną płótna
i na biurku papier blady,
pióro obok,
pisma ślady:
niedokończona ballada...

Andrychów

Stanisław Buczyński

Przenigdy wojny!

W moim ogródku malwy złote
I synek śpi malutki,
Po ścieżce chodzą bure koty
I małe krasnoludki.

Śmieją się żerdzie w płocie starym,
Pieśń młoda dzwoni. Żniwa.
Błękit niebieskim swym sztandarem
Na wieś kochaną spływa.

Od pól się niosą chlebne wonie,
Po chatach kipi z dzieży;
Południem ujmą czarne dłonie
Ten chleb matczyny świeży.

Trzydzieści lat po krwawej wojnie
Wyrosły z prochów kłosy żytnie...
W ogródku synek śpi spokojnie
I mak czerwony kwitnie.

Śpi synek mały, śpi w ogródku,
Oddycha tak spokojnie,
Lecz serce moje w ciężkim smutku:
Znów szepcą coś o wojnie...

I dusza moja nocą głuchą
Drży jako ptak w obłoku:
Znów ziemię skrwawią bomb wybuchy,
Gdy wróg uderzy w mroku?

Czy znowu mają runąć z wyżyn
Bomby zdradzieckim młynkiem?
Czy znowu cieniem czarne krzyże
Zawisną nad mym synkiem?

Nie chcę, by złote moje malwy
Krwi synka się opiły!
Nie chcę, by od niemieckiej salwy
Wyrosły znów mogiły!

Czy znowu świtem albo w mroku
Wypłynie morze krwi i smutku?
Przenigdy wojny! Pokój! Pokój!
Mój synek śpi w ogródku!

Choć wiem, że wstaną znów mściciele
I milionami runą zbrojnie,
Targa mną lęk i grozę ściele
Ta myśl o nowej wojnie...

Kotorów, pow. Hrubieszów

* **Wiersze wyróżnione na konkursie poezji ludowej.**

Józef Marszałek

Smutek

Zmrok zapada upalny i duszny,
pusto w duszy i smutno.
Noc osiądzie nade mną
gwiazdami.

W mgławic przestrzeń bezkresną,
w smutku otchłań bezdenną
wyjdą myśli moje
ogniami.

Błyszczeć będą w ciemności,
zimnym blaskiem ogrzeją
duszę tępą — zbolałą
tęsknotą.

Za czymś nowym, odmiennym,
wielkim i niecodziennym,
poza smutkiem, dusznością
i nocą.

Garwolin

Zofia Strumińska

Pisanki kraszanki

Ziele zielone kwietniowe
serduszko pisane woskiem
maluje świat na ludowo,
skrapia go cętkami rosy
skrzydełkiem motylkowym.

Piórko, pajączek — żywopis,
kwiatek z pączkami i listek
zdobny płaszczęcym pismem
liliowy pasiak i złocień
prosto spod krosien —
Entliczek pętliczek —
tu gałązka tam kłosik —
ktosik i cosik,
gdy lubczykiem w okienku
zakwitnie

w glinianym wazoniku,
poda żywą kraszankę wiośnie
niby leluję modrą —
oj czerwień, czerwień czerwoną
na białym, na talerzyku.

Białystok

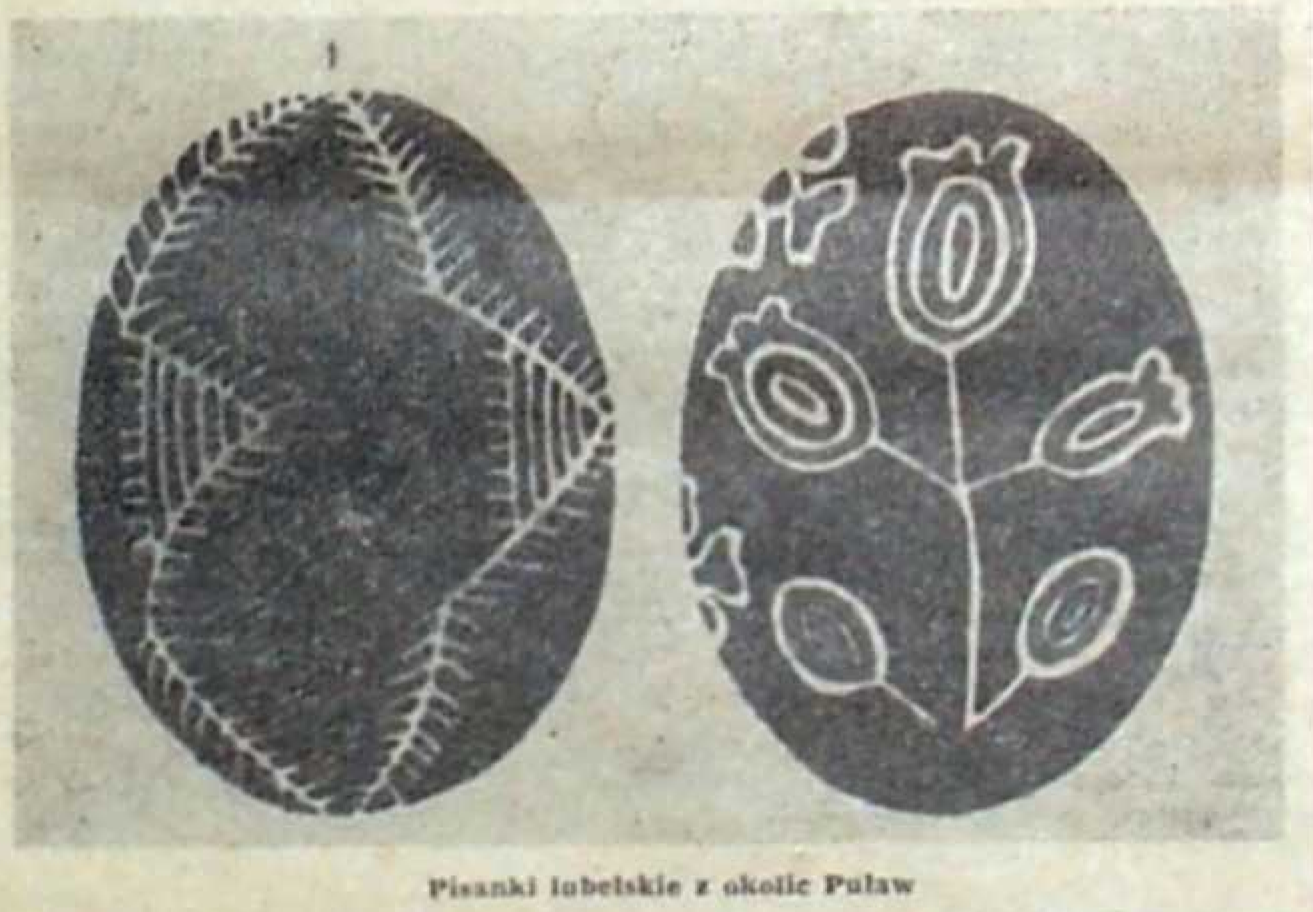

Pisanki lubelskie z okolic Puław

Niedokończona akademia

Julian Smuga

KIEDY na zebraniu w Knotkach Suchych zapadła decyzja uczczenia którejś z kolei rocznicy wynalezienia lampy naftowej, w świetlicy powstała wrzawa. Najpierw wybuchł spór o nazwisko wynalazcy: Łukasiński czy Łukasiewicz. Komisja, powołana do rozstrzygnięcia sporu, ustaliła nazwisko kompromisowe — Łukaszewski. Przewodniczący komisji powołał się bowiem na niejakiego ob. Salomona, który w sporach prawnych postępował podobnie.

Następnie postanowiono, że akademia odbędzie się wieczorem, przy zapalonej lampie naftowej — dowodzie działalności ob. Łukaszewskiego. Twardy orzech do zgryzienia stanowił problem nafty. Zaindagowany w tej sprawie prezes GS odrzekł krótko, żeby na niego nie liczyć.

Wobec tego Władek Stolarczyk zaproponował, aby złożyć podanie do władz o podłączenie gromadzkiej lampy do rurociągu „Przyjaźń". Projekt jednak upadł, bo nikt nie znał międzynarodowego adresu rurociągowej władzy. Wtedy sam sołtys postawił wniosek, aby odwołać się do ofiarności obywateli i przeprowadzić zbiórkę nafty we wsi.

W kwestii formalnej zabrał głos Piotr Niezgoda, który domagał się, aby kontyngent naftowy pobierać z hektara, z zastosowaniem progresji, ale go zakrzyczano, a Stach Gawronków poradził mu, aby sobie kupił różaniec i nie mieszał się do spraw politycznych.

Nadspodziewanie szybko załatwiono sprawę portretu wynalazcy. Członek komitetu organizacyjnego, Tomasz Kijanka, obiecał wypożyczyć swego świętego patrona, którego kupił w komisie. Święty jest poważny i może z powodzeniem symulować wynalazcę.

Na zakończenie wybrano komisję petrochemiczną do zbiórki nafty oraz ustalono termin akademii.

Nadszedł wielki dzień. Akademię wyznaczono na późny wieczór, aby blask lampy lepiej uwydatnić. Kto żyw pchał się do świetlicy, gdzie pod sufitem wisiał patron Tomasza Kijanki przystrojony jedliną. Z obu stron portretu na postumentach do kwiatów stali dwaj strażacy w pełnej gali, w charakterze straży honorowej. Pod portretem wisiał treściwy napis: „Łukaszewskiemu — Knotki Suche". Poniżej napisu tkwił gwóźdź, a na gwoździu wisiała i migotała lampa.

Zagaił sołtys:

„Obywatele! Gdy z mroków pogaństwa wyłonił się jasny blask lampy naftowej, stało się jasne, że ludzkość weszła na drogę postępu technicznego. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie geniusz człowieka, któremu hołd dzisiaj oddajemy. Ta lampa świadczy..."

I tu stało się coś strasznego.

Przy słowach „ ta lampa" sołtys podniósł rękę, aby nie było wątpliwości, o którą lampę chodzi, potrącił ją, rozległ się stuk, brzęk — i zapadła ciemność. Tłum zafalował, dały się słyszeć piski dziewcząt, co było oznaką, że młodzież wyciągnęła z ciemności właściwe wnioski.

Na rozkaz sołtysa błysnęły zapałki. Ktoś podał sołtysowi znicz nagrobkowy, przy którego wątłym blasku sołtys miał zamiar dalej przemawiać. Ale jeszcze dobrze nie odchrząknął, gdy na salę wpadł komendant straży pożarnej. Szybko przeciskał się przez tłum wśród stłumionych chichotów kobiet, bo naczelnik był dżentelmenem i wiedział jak obok dam przechodzić należy.

— Sołtysie, ja w sprawie formalnej!

— Gdzie się pali? — spytał sołtys.

— Nigdzie! Wracam z powiatu z ważną wiadomością. Na wiosnę założą nam elektrykę!

— Prawda to?

— Murowana!

— To po kiego diabła mu się tu mordujemy z tym nafciarzem? — huknął sołtys.

— Ano prawda — przytaknęli radni.

— Wobec tego, że ten tu już nieaktualny — tu sołtys wskazał niedbale portret patrona Tomasza Kijanki — należy uczcić odnośnego obywatela, co elektryczne światło wymyślił. Nazwisko wyleciało mi z głowy.

— Aladyn — powiedział pewien młody intelektualista.

— Noe! — krzyknął Piotr Niezgoda.

I naukowo uzasadnił, że Noe musiał mieć elektrykę, bo skąd by wziął nafty na 40 dni potopu?

Na wszelki wypadek uczczono obydwu mężów przez odtańczenie dwóch popisowych oberków. Tańczyła młodzież z miejscowego zespołu amatorskiego. Na tym wyczerpano program.

Na drugi dzień sprzątaczka weszła na stół, aby zdjąć pożyczony obraz. Trochę ją zdziwiło, że patron Tomasza Kijanki ma muchę pod brodą, włosy z przedziałkiem i patrzy prosto przed siebie, zamiast do nieba.

Na odwrocie obrazu wypatrzyła nieco zatarty napis.

— To-masz E-di-son... — przesylabizowała. Nawet nie najgorsze nazwisko ma ten święty.

Westchnęła nabożnie, zeszła po krzesełku na podłogę i odniosła obraz właścicielowi.

I co dalej?

Dokończenie ze str. 9

nością. Jakże mocno takie pojęcie spotyka się z socjalistycznym modelem kultury narodowej, gdzie powszechność jej współtworzenia jest momentem zasadniczym.

Tak więc Stowarzyszenie stać się powinno nie związkiem branżowym, ale ruchem ideowo-społecznym zakładającym kultywowanie tradycji twórczości ludowej, ukazywanie społeczeństwu jej wartości. Oznacza to również wywieranie wpływu na publikowanie i popularyzowanie najlepszych przejawów tej twórczości a także skuteczną pomoc tym twórcom, którzy jej potrzebują. Oznacza to dbałość o wysoką, godną jej wiekowego dorobku — rangę twórczości ludowej.

Ale na te tematy głos powinni zabrać sami twórcy, których w dotychczasowych dyskusjach zupełnie nie widać. Chodzi tu o to, by na dość powszechnej opinii nie ważyły tylko jednostkowe zachowania się, czy przedsięwzięcia. A skarbnica jest bogata.

I taka jest intencja mojej wypowiedzi kierowanej przede wszystkim do samych twórców ludowych. A Stowarzyszenie zadba chyba o to, by głosy te ukazały się na forum publicznym.

Stanisław Weremczuk

Z życia STL

Rada naukowa już działa

W dniu 5.12.1969 r. w Krakowie odbyło się pierwsze organizacyjne posiedzenie powołanej do życia przy Zarządzie Głównym STL Rady Naukowej. Zebrani dokonali wyboru przewodniczącego w osobie prof. dr. Romana Reinfusa, z Instytutu Sztuki PAN, zaś obowiązki jego zastępcy powierzono prof. dr. Józefowi Burszcie, kierownikowi Katedry Etnografii Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu. Rada, która liczyła 11 osób, wyłoniła dwie sekcje: sztuki ludowej — z przewodniczącym dr. Kazimierzem Pietkiewiczem, i piśmiennictwa ludowego — z dr. Romanem Rosiakiem na czele. Do podstawowych zadań stojących przed obiema sekcjami zaliczyć należy przede wszystkim opiniowanie nadsyłanych do STL materiałów i weryfikowanie kandydatów na członków Stowarzyszenia, pomoc naukową, inicjowanie konkursów i wydawnictw itp. Ze względu na ambitne i poważne zadania, jakie ZG STL nakreślił przed tą organizacją na najbliższy okres, zaistniała jednakże potrzeba powołania jeszcze jednej, trzeciej już sekcji — społeczno-programowej. Doszło do tego 9 stycznia br. w Warszawie, zaś kierownictwo tego zespołu przedstawicieli świata artystycznego, literackiego, dziennikarskiego i społeczno-kulturalnego powierzono red. naczelnemu „Tygodnika Kulturalnego" mgr Stanisławowi Adamczykowi. Na tym samym zebraniu dokooptowano jako drugiego, obok prof. dr. J. Burszty, zastępcę przewodniczącego Rady Naukowej w osobie znanego literata i wiceprezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji — Antoniego Olchy.

Oddział STL w Lublinie

W grudniu 1969 r. Lublin, jako drugi z kolei (po Olsztynie), powołał do życia wojewódzki Oddział Stowarzyszenia, którego przewodniczącym wybrany został Jan Główka, poeta z Nielisza, pow. Zamość. Sądząc z rozmów przeprowadzonych przez przedstawicieli ZG STL z miejscowymi władzami oraz opierając na wynikach dotychczasowej współpracy i zaawansowaniu prac, w najbliższym czasie należy się liczyć z możliwością powstania oddziałów wojewódzkich STL w Warszawie, Krakowie i Bydgoszczy. Warto też zwrócić uwagę na fakt, że Stowarzyszenie czyni jednocześnie starania o zakładanie klubów powiatowych tam, gdzie istnieją większe skupiska samorodnych artystów. Na Lubelszczyźnie działają i współpracują ze Stowarzyszeniem już trzy takie kluby: w Puławach, Krasnymstawie i Zamościu, w województwie warszawskim — jeden w Sierpcu. I w tym zakresie trzeba się spodziewać rychło narodzin nowych tego typu placówek.

Poeci przed kamerami TV

Dzięki cennej inicjatywie „Chłopskiej Drogi", szczególnie zaś red. Romana Wójcika, który wziął na siebie główny ciężar obowiązków, w dniu 24 grudnia ub. r. tuż po dzienniku telewizyjnym miliony ludzi w całym kraju, zasiadających przy stole wigilijnym, mogło zobaczyć i posłuchać poetów ludowych, członków STL. W audycji pt. „Dzisiok, w te Gody", przygotowanej przez Wojciecha Siemiona, przy współpracy red. Romana Wójcika, wystąpiło 7 naszych twórców: Wanda Kościelniak-Czubernatowa, Władysław Kuchta, Piotr Krzykalski, Emilia Michalska, Hanka Nowobielska, Bronisław Pietrak i Andrzej Skupień-Florek. Nie można też pominąć milczeniem faktu poświęcenia przez redakcję „Chłopskiej Drogi" 2 kolumn w świątecznym numerze dla autorów pastorałek.

Kolejne straty

Zaledwie kilka miesięcy temu informowaliśmy o śmierci jednego ze znanych poetów, członków STL, Stanisława Palecznego i oto z listy żyjących wypada skreślić następnych twórców: Alojzego Śliwę i Władysława Flisa — Jutrznię. Trudno w kilku zdaniach nakreślić sylwetki obu pisarzy, można jedynie przypomnieć w poważnym skrócie ich dorobek i biografie, tak przecież bogate.

Alojzy Śliwa urodził się 16.2.1885 r. w Skajbotach, pow. Olsztyn, w rodzinie chłopskiej. W 1909 r. w poszukiwaniu pracy wyjechał do Berlina, gdzie należał do Związku Polaków. W 1919 r. brał udział w plebiscycie w Prusach Wschodnich. W latach 1920—1940 pracował w Krawieckich Zakładach Umundurowania w Poznaniu. O polskość Warmii i Mazur walczył od najmłodszych lat czynem i piórem, co znalazło uznanie m. in. w postaci licznych wysokich odznaczeń państwowych — z Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski na czele. Mimo sędziwego wieku do ostatnich lat pisał i publikował na łamach prasy mazurskiej i centralnej oraz licznych antologii dziesiątki wierszy, legend, felietonów i opowiadań. Debiutował w roku 1912, zaś jeszcze w 1965 r. wydał tomik poezji pt. „...Spisałem dla potomności". Od 1933 r. był członkiem Związku Literatów Polskich, należał także do MKPL, a następnie STL. Zmarł 24 grudnia ub. r. w Olsztynie.

Władysław Flis-Jutrznia urodził się w 1900 roku we wsi Węglin pod Lublinem. Bieda i choroby towarzyszyły mu przez całe życie, zaś do szkoły w ogóle nie chodził. Po wyzwoleniu osiedlił się w Raciborkach, pow. Szczecinek, woj. koszalińskie, gdzie prowadził gospodarstwo rolne. Pisał wprawdzie od dawna, zadebiutował jednak dopiero w roku 1965 w antologii „Od Bugu do Tatr i Bałtyku". Był członkiem MKPL i STL. Pozostawił po sobie wiele wierszy oraz pamiętnik. Zmarł 13 grudnia ub. r.

Nasi jubilaci

Można bez przesady stwierdzić, że ostatnie miesiące wyraźnie obfitują w jubileusze. I tak w dniu 30 listopada ub. r. poetka lubelska, Maria Wójcik z Bochotnicy, pow. Puławy, obchodziła 75-lecie urodzin. 25 listopada ub. r. siedemdziesiątą rocznicę urodzin obchodziła poetka białostocka, Stanisława Połak z Szumowa, pow. Zambrów. Prawdziwie rekordowy okazał się jednak styczeń br., w którym aż trójka poetów beskidzkich zapisała na swoim koncie 60 lat życia i 40 lat działalności literackiej, mianowicie: 17 stycznia — Antoni Leśniak ze Stryszawy, pow. Żywiec, 19 stycznia — Henryk Biłka z Andrychowa i 28 stycznia — Maria Kozaczkowa z Dąbrowy Tarnowskiej. I wreszcie jubilat z lubelskiego regionu: Józef Basaj z Nowego Folwarku, pow. Chełm, obchodzący 16 marca — siedemdziesięciolecie urodzin. Wszystkim jubilatom składamy serdeczne życzenia długich lat życia i dalszych osiągnięć na niwie literackiej.

Apel Muzeum

Zarząd Główny STL ponownie zwraca się od wszystkich członków Stowarzyszenia z prośbą o nadsyłanie do znajdującego się w stadium organizacji Muzeum Piśmiennictwa Ludowego wszelkich materiałów dotyczących własnej twórczości, przede wszystkim zaś wycinków prasowych, ewentualnych publikacji książkowych, fotografii itp. Dotychczas dla każdego z członków założono odrębną teczkę, w której znalazły się wyselekcjonowane materiały biograficzne oraz maszynopisy i rękopisy utworów udostępnionych Stowarzyszeniu. Niestety, wiele teczek jest jeszcze zbyt ubogich i w interesie ich właścicieli leży chyba wypełnienie tych przykrych luk.

Nowe wydawnictwa

Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego w marcu br. ukaże się kolejny tomik z serii Lubelskiej Biblioteki Ludowej, mianowicie zbiór wierszy Seweryna Skulskiego pt. „Astry". Ponadto w produkcji znajduje się IV tom antologii „Wieś Tworząca", na który złożyły się utwory wierszem i prozą ponad 80 pisarzy.

Dzięki temu, że Wydawnictwo Lubelskie zapewniło systematyczność ukazywania się tej publikacji, będącej swego rodzaju wizytówką członków STL, podjęte zostały już prace nad przygotowaniem i oddaniem w możliwie jak najszybszym czasie (w terminie około 3 miesięcy) V tomu „Wsi Tworzącej". W związku z tym członkowie STL (jak również niezrzeszeni) proszeni są o nie zwlekanie z wysyłką materiałów przeznaczonych do antologii na adres: Roman Rosiak, Lublin, Przodowników Pracy 2/13.

moje LEKTURY

O życiu i poezji

MARIANA Piechala pamięta czytelnik przede wszystkim jako poetę i tłumacza, mniej zaś jako eseistę i publicystę. A przecież we wszystkich tych dziedzinach występuje on od dawna. Najnowsza książka Piechala nie powinna więc dziwić; podejmuje w niej autor zasadnicze sprawy dotyczące pisarza, jego sytuacji i roli we współczesnym świecie. Przypomniał mi się w tym miejscu wieczór autorski wybitnego pisarza, który po przeczytaniu z książki jakiegoś opowiadania chciał podjąć ze słuchaczami dialog, zachęcając do pytania o wszystko. Stanowisko tego pisarza, którego stać było odpowiedzieć na każde pytanie, łączy się z odnawianymi co pewien czas dyskusjami na temat, kim naprawdę jest pisarz, jaka jest jego sfera działania i kompetencji. Ma on być wieszczem czy błaznem, sędzią czy sługą, oskarżycielem czy świadkiem?

Zagadnienia te nurtują coraz bardziej pisarzy i poetów, bo dotyczą ich osobistego losu, miejsca pisarza i literatury w świecie, w społeczeństwie. Daje im wyraz i książka Piechala pod nieco mylącym, nie dopasowanym do zawartości tytule, „Pelagia, uczennica diabła".

Piechal stara się, acz pośrednio, obronić prawo pisarza do wychodzenia poza swoje ściśle literackie obowiązki i wypowiadania się na tematy — zdawałoby się — obce dla niego. A są to sprawy podstawowej wagi dla sytuacji współczesnego człowieka: natura i przyroda, człowiek i przyroda, sztuka i natura, technika i sztuka, granice cybernetyki — taki jest jeden zespół problemów. Rozmyślania Piechala, który podejmuje te zagadnienia nie jako specjalista, lecz jako pisarz, dotykają spraw palących, których rozwiązanie decydować będzie o najbliższym kształcie świata i biegu ludzkich losów. Takie felietony jak „Człowiek i przyroda" czy „Zieleń w słońcu" współbrzmią z wysiłkami człowieka o ocalenie jego naturalnego środowiska, bowiem — jak pisze autor dobitnie — *niszczenie przyrody to niszczenie życia.*

Głos pisarza wzywa do zachowania umiaru i równowagi. Rozumie on konieczności wynikające z rozwoju cywilizacyjnego i technicznego, ale pragnie zachować spojrzenie humanisty, chce widzieć wszystko w perspektywie człowieka. Swoisty antropocentryzm przenika wszystkie rozważania Piechala. Wie on, że człowiek *jest jedynym stworzeniem na świecie (...) wszystkożernym i wszechniszczącym*, zdaje sobie sprawę, że wypieranie humanistyki przez technikę będzie dla przyszłości katastrofalne. *Technika, która zabija myśl, wyobraźnię i uczucie człowieka, staje się zapowiedzią swej własnej zagłady, a zagłada techniki, to powrót człowieka do jaskini i jego autodegradacja do poziomu troglodyty.*

W tym właśnie miejscu pojawia się w nowym znaczeniu rola pisarza i poety jako rzeczników humanistycznego spojrzenia. Tylko nauka w zmowie z poezją — czytamy u Piechala — może ocalić życie od zagrażającej mu totalnej zagłady. Poezja ma więc być elementem równowagi; ona musi stanowić szkołę wrażliwości, stanowić teren stałego odkrywania świata na nowo; ona będzie wiązać teraźniejszość z tradycją i przyszłością.

W innych szkicach Piechal sprawdza, czy współczesna poezja jest w stanie sprostać tak widzianemu jej powołaniu. Broni jej praw do własnego języka, nawet trudnego czy przejściowo niezrozumiałego dla szerszych kręgów, ale też wykazuje, iż często nie czyni ona zadość stawianym wymaganiom. Najchętniej atakuje Piechal poezję najmłodszą, na pewno tak jest najłatwiej. Można się oczywiście spierać, czy przynosi ona już własne widzenie świata, trzeba przypominać zdanie Mickiewicza, że aby coś zrobić w literaturze, trzeba być kimś w życiu; na pewno osobowość pisarza liczy się przede wszystkim. Nie można jednak przejść obojętnie nad takim oto zdaniem: *To na pocieszenie niektórych z najmłodszego pogłowia naszych pisarzy, a zwłaszcza poetów.* Pod piórem doświadczonego pisarza jest ono dziwne i nie świadczy o szacunku do najmłodszych kolegów po piórze. A oni przecież są przyszłością literatury.

Zwróciłem uwagę na owo zdanie napisane może odruchowo, ale towarzyszy mu kilka innych w podobną stronę skierowanych. Także i w innych felietonach Piechala jest nieco miejsc spornych, płytszych, myśli zbyt oczywistych i upowszechnionych, zaś niektóre artykuły o pisarzach są nadto zbyt informacyjne i nowego spojrzenia nie wnoszą.

Najciekawsze są te szkice i artykuły, gdzie dochodzą do głosu własne upodobania pisarza lub gdzie pisze o ludziach sobie bliskich i dobrze znajomych — myślę o stronach poświęconych Sebyle, M. Braunowi, Szymańskiemu czy Timofiejewowi. Tu najczęściej ujawnia się także fakt, że i sam Piechal, jak niektórzy ze wspomnianych pisarzy, jest pisarzem łódzkim z krwi i kości. Właśnie wówczas, gdy ujawnia się osobisty stosunek do tematu, powstają najlepsze strony książki jak choćby dwa świetne, pięknie napisane szkice: „Wyprawa do Czarnolasu" i „Rozmowa z mistrzem Nikiforem".

Felietony Piechala ogłaszane były w prasie łódzkiej, powstawały często z doraźnej potrzeby: niektóre wiążą się w spoiście związane całości, myśli się zawęźlają. Całość jest — mimo zastrzeżeń i sprzeciwów — świadectwem głębokiego i odpowiedzialnego pojmowania obowiązków pisarza. Wyrasta ono z inspiracji Norwida, poety zawsze Piechalowi bliskiego. Z myśli Norwida wywiedziono te piękne i mądre zdania o człowieku:

Człowiek jest stworzeniem równie czującym jak myślącym. Uczucie wzmaga myślenie, a myślenie pogłębia uczucie. Dając przewagę jednemu nad drugim, podcinamy sens obydwu — obydwu skrzydeł naszego człowieczeństwa. Czyż kto widział kiedy lot o jednym skrzydle?

Tadeusz Klak

Marian Piechal: Pelagia, uczennica diabła czyli sedno rzeczy. Łódź 1969. Wyd. Łódzkie.

Konkurs na pamiętnik

»Ze wsi do miasta«

W okresie 25 lat istnienia Polski Ludowej opuściło wieś i przeniosło się do miasta 3 miliony ludzi. Pragnąc ukazać skomplikowane procesy społeczno-kulturalne związane z frapującym zjawiskiem wzajemnego przenikania się wsi i miasta poprzez przepływ ludności, „Tygodnik Kulturalny" wespół z Ministerstwem Kultury i Sztuki, Centralną Radą Związków Zawodowych, Towarzystwem Przyjaciół Pamiętnikarstwa i Spółdzielnią Wydawniczą „Książka i Wiedza" ogłasza konkurs na pamiętnik pod hasłem: „Ze wsi do miasta".

Udział w konkursie na pamiętnik może brać każdy, kto w minionym 25-leciu przeniósł się na stałe ze wsi do miasta podejmując pracę w określonym zawodzie. Zależy, aby wypowiedzi pisane były szczerze, prosto, szczegółowo — wedle własnego układu i oceny ważności faktów. Pamiętniki powinny obejmować zwłaszcza charakterystykę sytuacji własnej, rodziny i środowiska zamieszkania w momencie podejmowania decyzji o przenoszeniu się ze wsi do miasta. Co taką decyzję ułatwiało, a co ją utrudniało? Jak wyglądały pierwsze kroki na nowym gruncie — zdobywania mieszkania, zdobycia pracy, wejścia w nowe środowisko, doświadczenia, kłopoty, pomoc rodziny, proces zdobywania nowych nawyków, tworzenie nowych więzi sąsiedzkich i towarzyskich, a także stosunek do środowiska rodzinnego i rodzaj kontaktów z nim. Czy wejściu w nowe środowisko towarzyszyła integracja z nim czy też tworzyło się środowisko nowe, złożone z „przybyszów".

Termin nadsyłania prac, najlepiej w maszynopisie, pod adresem „Tygodnika Kulturalnego" (Warszawa, ul. Grzybowska 4/8 „Ze wsi do miasta") upływa 30 kwietnia 1970 r. Prace można również składać w czytelnym rękopisie. Teksty powinny być opatrzone godłem. Tym samym godłem należy oznaczyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora, a także dane dotyczące zawodu, wieku i wykształcenia.

Za najlepsze pamiętniki przewiduje się następujące nagrody: I — 10 000 zł, dwie II po — 8000 zł, cztery III po — 5000 zł oraz kilkanaście wyróżnień po 1000 zł.

Sądowi konkursowemu przysługuje prawo innego podziału nagród. Nadesłane prace stają się własnością organizatorów konkursu, którzy będą je wykorzystywać do analiz naukowych i publikacji. „Tygodnik Kulturalny" zastrzega sobie pierwszeństwo publikowania nagrodzonych bądź wybranych prac, a „Książka i Wiedza" — pierwszeństwo wydania pamiętników. W przypadku druku autorzy otrzymają honorarium wg ustalonych stawek.

Krzyżówka nr 6

POZIOMO: 1. teatr w Przemyślu, 5. polski zbieracz ludowych pieśni, 8. plemię w Nigerii, które było przyczyną wojny domowej, 9. polski współczesny krytyk i historyk literatury, 11. wysyłający przesyłkę, 12. piewca Podhala, 13. ciężki i miękki metal, 14. córka Agamemnona, bohaterka tragedii Eurypidesa, 16. władca tatarski, 18. najwyższy szczyt Tatr, 22. jednostka pływająca, 23. łąka w górach, 27. bóg wojny, 29. książę, bohater opery Borodina, 31. arabski dowódca wojskowy, 33. rodzaj czerwieni, 35. uzdrowienie, rządząca partia Polski przedwrześniowej, 39. uroczyste przyjęcie, 40. wielki utwór poetycki o charakterze opisowym, 42. jedzenie, 44. prawda, 45. zawikłana fabuła, 46. zieleń na pustyni, 47. upominek, 48. moskiewska dzielnica sportowa, 49. ogół spraw poruszonych w dziele.

PIONOWO: 1. językoznawca, 2. wyborca w wyborach pośrednich, 3. płaski teren, 4. drobny węgiel, 5. zgromadzenie na wysokim szczeblu np. seniorów, 6. odbicie światła, 7. hiszpański kompozytor narodowej muzyki, 10. muszla, 15. atrybut ministra, 17. stan w płn.-wsch. Indiach, 19. jednostka pracy, 20. kiepska kawa, 21. powieść Elizy Orzeszkowej, 23. klimat, pogoda, 24. rzeka w ZSRR wpadająca do Morza Kaspijskiego, 26. rzeka na Syberii, 28. pisarz polskiego renesansu, 29. dawna złota 10-rublówka, 30. otwór w ścianie, 32. żywy organizm, 34. rzeka w Birmie, 36. wieś na Podhalu znana z twórczości Jalu Kurka, 37. miejscowość pod Kielcami ze słynnymi ruinami zamku, 38. park pod Nieborowem, 41. gromowładne bóstwo Słowian, 43. boisko do tenisa.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4

POZIOMO: Krasiński, Kórnik, Łomnica, Egon, norma, rok, rejon, akty, sukmana, Tartuffe, malowidło, araukaria, Lubartów, tragizm, port, niebo, ród, annał, Róża, eliksir, errata, wiadomość.

PIONOWO: Kronos, Amor, igła, szmaragd, inicjator, Klarner, rzeka, kantylena, mim, kuferki, kaliber, Alwar, taksa, Malaparte, Ławreniew, autopsja, tandeta, gen, miłość, trasa, Arno, Nemo.

NAGRODY WYLOSOWALI

Helena Jakubiak, Okrzeja pow. Łuków; Stefania Kotlarczyk, Smogorzów pow. Przysucha, woj. kieleckie; Ewa Traczewska, Lublin, ul. Ogrodowa 1/5; Bogumiła Trus, Lublin, ul. Męczenników Majdanka 61 m. 3.

Listy do KAMENY

„Cieszmy się..."

Zamanifestowała swoją obecność nowa grupa poetycka „Samsara" i w ślad za nią, na niej pokazał swój pazur nowy krytyk, który kolumnę grupy opublikowaną w „Kurierze Lubelskim" „zjechał" z miejsca w „Kamenie" (nr 4, „Cieszmy się..." Henryk Józef Kozak). Wydarzenie ma charakter trochę incydentalny i można by było czekać, co z tego fermentu wyniknie, ale wypada zabrać głos ze względów, nazwijmy je — metodyczno-pedagogicznych. Wprowadzający artykuł A. W. Pawluczuka jest jako credo grupy budzącą nadzieję legitymacją postawy maksymalistycznej, wołaniem o dobrą poezję, wyrażającą zasadnicze problemy ludzkie. Jako merytoryczna ocena młodej poezji jest zbyt emfatyczny i ogólnikowy. W wierszach grupy widać pewien niepokój sięgania do spraw zasadniczych i borykanie się z kształtem słowa, które wbrew widocznemu kierunkowi szukania prowadzi czasem do wymyślności. Należałoby grupie życzyć, by w wypowiedziach krytycznych starała się o większą powściągliwość i kierowała się merytoryczną rzeczowością, a w poezji by ambicje i poszukiwania doprowadziły do poetyckiej krystalizacji.

Jeśli się pojawia nowa grupa, trudno od niej wymagać pełnej dojrzałości i całkowitej zgodności zamierzeń i dokonań, trzeba natomiast sygnalizować ewentualne niebezpieczeństwa, pomagać w rozwoju, zakładając, że z fermentu grupy coś dla literatury pozostanie: albo dojrzeje jakiś autor, albo przynajmniej rozwinie się wrażliwość i kultura literacka. Przypomnijmy, że z poprzedniej grupy studenckiej „Prom" wyrosła dobra twórczość Henryka Pająka.

Z tego powodu i ze względu na zastosowaną metodę budzić musi więc protest reakcja na pojawienie się grupy ze strony H. J. Kozaka, który nie krytykuje grupy, tylko wybrzydza się. Tym bardziej to dziwne, że nie widać między nim i grupą jakichś różnic w dążeniach artystycznych czy ideowych. Góruje natomiast nad grupą pretensjonalnością, którą właśnie grupie wytyka, nie wiadomo bowiem jaka jest podstawa jego artykułu i do czego zmierza. Wyszydza grupę i mówi o grafomanii, bełkocie, nieznajomości młodej poezji, o tym że jej członkom „nie pomoże nawet wieża Eiffla", a na końcu... każe czekać na następną kolumnę. Można krytykować ostro, ale nie w ten sposób. Kozak bowiem traktuje sprawę wyzwiskowo, brak tu argumentacji, którą zastępuje arbitralność i mentorstwo, np. we frazach: „zgadzam się z tym całkowicie", „ani jeden z wierszy nie wzruszył mnie". Poza tym niedopuszczalne są takie preparowania tekstów, jak przytoczenie jako jednego zdania z artykułu Pawluczuka zdania w istocie zmontowanego ze słów z dwu różnych akapitów, jak twierdzenie, jakoby Królik o sobie pisał, iż jest kraszony czerwcem (akurat metafora wydaje mi się trafna i na szczęście w wierszach grupy metafor-potworków nie ma wbrew sugestiom Kozaka) itd.

Cieszmy się, woła w tytule swych uwag Kozak. Nie, nie mamy się z czego cieszyć na razie. Dobrze, że jest grupa, która ma jakieś ambicje, dobrze, że H. J. Kozak zrobi wokół niej hałas, ale złą wybrał drogę, bo ani grupy nie zniszczy, ani jej pomoże. Oby pewna ostrość, jaka zarysowała się w wypowiedzi Pawluczuka i krytyce Kozaka, była sygnałem trwałych dążeń i prawdziwej pasji, która doprowadzi do osiągnięć poetyckich i krytycznych, ale musi iść z nią w parze większa rzeczowość i konkretność. Wtedy się kłóćcie. Merytorycznie i konstruktywnie (choćby nawet za pomocą pamfletu), ale nie przezwiskowo i werbalnie, jak zaproponował Kozak. Wtedy będziemy się cieszyć.

Zdzisław Jastrzębski
Lublin

„Noty i notki"

Intryguje ta notka, pierwsza z brzegu, z numeru 4 „Kameny". Oczywiście, rację ma p. (JOD), prostujący pomyłkę K. T. Toeplitza w stosunku do de Gaulle'a; prezydent rzeczywiście zmienił konstytucję w władomym celu. Chodzi mi jednak o coś innego. Otóż p. (JOD) zauważa z wyczuwalną naganą, że artykuł KTT pt. „Indywidualność", zamieszczony w „Kulturze", jest „niemal od góry do dołu dyskusyjny". Czyżby to była wada jakiejkolwiek publikacji dziennikarskiej? Artykuł nie dyskusyjny jest, moim zdaniem, czymś miernej wartości, ponieważ prezentuje przeciętne, obiegowe opinie, nie wnosi na ogół nic nowego do naszej wiedzy o jakimś problemie, nie jest w stanie w sposób sugestywny zarysować nowego problemu, bo banalne spojrzenie może cieszyć się tylko banalnym pejzażykiem (także społecznym) a nie dziełami np. Waltera de Marii, których na dobrą sprawę nie dostrzega. Cała więc „dyskusyjność" artykułu KTT polega na tym, że spojrzał na pewien ważny problem społeczny bez osłonek, ostro, prawdziwie.

Ów problem wiąże się m. in. z nieszczęsnymi losami pewnego rocznika uczniów szkoły artystycznej, dobranego według „kryteriów biograficznych". „Pod tym eufemizmem ukrywa się przecież całkiem jasna myśl — pisze p. (JOD) — że kandydatami na aktorów powinny być tylko dzieci inteligentów. Komentarz zbyteczny."

Nieprawda, i tu komentarz jest potrzebny, ale do interpretacji tekstu Toeplitza dokonanej przez p. (JOD). Przecież KTT — co niedwuznacznie wynika z artykułu — dostrzega całą złożoność problemu i jego dramatyczną antynomię: między koniecznością, palącą koniecznością, preferowania ludzkich uzdolnień (przede wszystkim) w rekrutacji na wyższe uczelnie, jako że największym bogactwem współczesnego świata, każdego państwa, jest twórcza myśl — a moralno-ideową potrzebą ułatwiania startu młodzieży z warstw społecznych upośledzonych swego czasu przez historię. Toeplitz zwrócił uwagę na nabrzmiały problem społeczny, wypełniając tym samym do końca zadanie autentycznego i myślącego publicysty, a za to właśnie p. (JOD) rzucił na niego brzydkie podejrzenie. Charakter takich rubryk, jak „Noty i notki", sprawia, że są one czytywane, wypadałoby więc z większą ostrożnością ferować opinie, nierzadko — co też wynika z charakteru notek-plotek-anegdotek — formułowane jednym lapidarnym zdaniem, co siłą rzeczy prowadzi do uproszczeń, a nawet jak w tym wypadku, do krzywdzących posądzeń.

Arkadiusz Kossowski
Lublin

„Gimnastyka akrobatyczna"

Po przeczytaniu w nr 3 „Kameny" z dnia 1 lutego br. felietonu podpisanego „R.W.", a zatytułowanego „Gimnastyka akrobatyczna" doszedłem do wniosku, że kilka zdań omawiających działalność Jana Pratka (?) w lubelskim sporcie dotyczy chyba mojej osoby.

Jakkolwiek zmiana brzmienia mojego nazwiska jest zapewne przypadkową pomyłką, która, myślę, zostanie sprostowana, to wydaje się, że gdyby p. R. W. przed napisaniem felietonu zechciał poznać problem „z drugiej strony", nie użyłby niewłaściwego, bo niezgodnego z prawdą określenia, że „poróżniłem się ze swymi władzami sportowymi". (Czy one zawsze mają rację?) Nie jestem również trenerem III klasy, chociażby dlatego, że w hierarchii stopni trenerskich PZAS nie ma takiego odpowiednika.

Jan Spratek
Lublin

OD AUTORA: Przepraszam p. Spratka za pomyłkę w jego nazwisku. Określenie „poróżnił się ze swymi władzami sportowymi" informowało jedynie o różnicach stanowisk, nie było jednak osądem, która strona miała rację. Informację zaś o stopniach PZAS uzyskałem od lubelskich władz związku — i być może zanotowałem nieściśle, za co przepraszam zainteresowanych.

(R. W.)

Listy do KAMENY

Czego uczy Studium Wojskowe

Dokończenie ze str. 6

Można zresztą sięgnąć nie tylko do suchych ankiet, ale i do samych wypowiedzi studentów. Szer. M. Gibaszewski stwierdził np.: *Z chwilą rozpoczęcia szkolenia w Studium Wojskowym nie miałem sprecyzowanego poglądu co do potrzeby tego szkolenia. Dzięki jednak opanowaniu wielu informacji z dziedziny militarnej oraz przedmiotów społeczno-politycznych, w tym głównie historii walk narodu i Wojska Polskiego w czasie I wojny światowej, a także aktualnych problemów politycznych, wyprowadziłem logiczny wniosek, że do obrony ojczyzny muszą być przygotowani wszyscy obywatele, a zwłaszcza studenci — przyszli oficerowie rezerwy.* Natomiast szer. J. Romański oświadczył: *Szczerze muszę przyznać, że oprócz walorów kształcących i poznawczych Studium Wojskowe dostarcza mi dużo osobistej satysfakcji i wewnętrznego i zadowolenia. Rozwija ono nie tylko cechy fizyczne, ale i kształtuje wartości charakteru — wolę, zdyscyplinowanie, odwagę i męskość.*

Problemy ideowo-wychowawcze, szkoleniowe i światopoglądowe są przedmiotem systematycznych narad oficerskiej kadry dydaktycznej, posiedzeń rady pedagogicznej i zebrań partyjnych, na których dokonuje się wymiany doświadczeń i przeprowadza analizę postaw społeczno-politycznych żołnierzy-studentów. Przekonałem się osobiście, że wymiana doświadczeń z gronem wykładowców, wzajemne hospitacje lekcji, a także narady pedagogiczno-metodyczne przynoszą nieocenione korzyści. Nie samo bowiem kształcenie polityczne i nie jeden jakiś przedmiot może sprostać trudnym zadaniom światopoglądowym. Konieczna jest tu stała, harmonijna korelacja przedmiotów ogólnowojskowych, z którymi ma do czynienia oficer w procesie wychowania i szkolenia studentów.

Bronisław Getka

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 600. 25.II.70. 9.600 Z-3

z bocznej trybuny

Gdzie leży granica?

ZE słowem „sport" łączy nam się pojęcie czegoś całkowicie spontanicznego. Biegam, bo mam chęć pobiegać. Skaczę, pływam, rzucam czymś, gram — bo przyszła mi na to ochota, lub też chcę pokazać memu koledze, że jestem od niego w tym lepszy. Tak było zawsze, od zarania dziejów sportu. Ale od wielu ładnych lat tak już nie jest. I coraz bardziej odchodzimy od tego modelu.

Biegam, rzucam, pcham, skaczę — bo mam dziś trening. Więc choć brak mi ochoty, muszę odwalić swoją porcję. Tak kazał trener. Jeśli nie posłucham, nie uzyskam należytych rezultatów w czasie meczu. Więc naprzód, jeszcze tylko 10 kilometrów truchtem. Jutro nowa porcja, pojutrze nowa — i tak bez końca. To już nie wypływa z naturalnej człowiekowi potrzeby ruchu lecz z przemyślenia. I do realizacji potrzebne są nie tylko chęci, lecz i silna wola, hart ducha, samozaparcie. Częstokroć w czasie imprez sportowych współczujemy krańcowo wyczerpanym zawodnikom. Tymczasem treningi bywają na ogół bardziej męczące niż same zawody. Nawet treningi bokserskie.

Wyniki uzyskiwane dziś przez sportowców są o wiele lepsze niż wyniki sprzed 10—20—30 czy więcej lat. Człowiek nie zmienił się w tym czasie, nie stał się lepiej umięśniony, ba — dziś częściej niż dawniej widać na boiskach chudzielców i mikrusów. Zaprzęgnięcie w usługi sportu całej plejady uczonych różnych dziedzin, fizjologów, lekarzy, higienistów, psychologów i socjologów przyniosło i przynosi coraz efektywniejsze metody treningu. W treningach nastąpiły nie tylko zmiany jakościowe, lecz i ilościowe. Dziś czołowi zawodnicy wszystkich prawie dyscyplin ćwiczą po pięć i więcej godzin dziennie, przez cały niemal rok. A startują raz czy dwa w tygodniu, przez pół roku, rzadko dłużej.

Rezultaty tego widoczne są nie tylko w coraz to nowych rekordach. Coraz częściej bowiem zdarza się, że doskonale wytrenowany sportowiec zawodzi w czasie meczu, uzyskuje wynik poniżej swego normalnego poziomu i przegrywa ze słabszym przeciwnikiem. Mówi się wtedy o słabej formie psychicznej, mimo iż istotą zmagań było wykazanie przewagi fizycznej. O wiele częściej niż w latach minionych słyszymy o załamaniu nerwowym zawodników podczas meczów, o wypadkach histerii nawet itd. Jak zapewnić równowagę duchową drużynie? Oto pytanie, które dziś nie daje spać trenerom. Co zrobić, żeby zawodnicy nie cierpieli na bezsenność przed ważnym spotkaniem? To też obecnie problem pierwszorzędnej wagi.

Docent Emil Kiszka z poznańskiej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego, były mistrz i rekordzista Polski w biegach na dystansach krótkich, powiedział niedawno w wywiadzie prasowym, że wprawdzie dziś rekordy sportowe w liczbach bezwzględnych są wyższe niż zaraz po wojnie, lecz zważywszy na ilość czasu przeznaczonego na trening dawniej, a przeznaczonego dziś, dawne wyniki były lepsze. Rezultaty nie poprawiają się proporcjonalnie do wysiłku na treningach. Jako przyczynę doc. Kiszki widzi to, że dawniej zawodnik był świeższy psychicznie w czasie zawodów, rwał się do walki. Dziś natomiast, po tygodniu harówki treningowej, nie ma już tego zapału na zawodach. Ekszmistrz wygłosił tę opinię w formie stwierdzenia wstępnego, wymagającego jego zdaniem dalszych badań. Trudno powiedzieć, ile w tym racji, ale na pewno wiele i być może poznańska uczelnia zabierze się do tego zagadnienia.

Zadziwiające wyniki uzyskiwane w ostatnich latach przez sportowców stawiały nieraz pytanie, jaka jest granica ludzkich możliwości? Ile człowiek rzuci najdalej oszczepem? 100 m, 120, 150? 150 — czy to możliwe? Ile podrzuci, ile skoczy, w jakim czasie przebiegnie 10 km? I czy w ogóle istnieją jakiekolwiek granice możliwości, czy też rezultaty będą stale i stale lepsze?

Dziś nikt nie może wyczerpująco na to odpowiedzieć. Na pewno jednak jakieś granice są, bo gdyby ich nie było, człowiek doszedłby w końcu do rezultatu 0,1 sek w biegu na 100 m. A może i lepszego?

Dziś widzimy wszakże, że oprócz granic fizycznych istnieją i psychiczne. Zbliżanie się do nich powoduje szereg komplikacji w strukturze duchowej zawodnika. Niewątpliwie ostra gra, a nawet brutalność, tak często teraz goszcząca na boisku, są w jakiejś mierze pochodną napięcia psychicznego, towarzyszącego zawodnikom w czasie treningów i imprez. Te ujemne skutki nadmiernego obciążenia organizmu zawodników niweluje choć częściowo uregulowane życie osobiste i zawodowe, nauka, praca, rodzina. Rzadko się zdarza, by sportowiec, nie tylko występujący na stadionie, lecz i normalnie pracujący, pozwalał sobie na jakieś nieodpowiedzialne wyskoki. Ale takich nie jest zbyt wielu.

R. W.

Rys. W. Fuglewicz

MINUTA MYŚLENIA

Szturm na Ulissa

POWIADOMIONY niemal w ostatniej chwili wykonałem szaleńczą robinsonadę do księgarni celem nabycia jednego ze znikających egzemplarzy „Ulissesa". Samego „Ulissesa"! O którym czytałem ale którego nie czytałem. Radość zdobyczy trzepotała we mnie jak rybka w elastycznej sieci zwanej — zdaje się — podrywką.

Trzepotała — przyznam otwarcie, narażając się na pogardę zachwyconych snobów — do momentu lektury. Nie będąc zawodowym krytykiem literackim, to znaczy piszącym, któremu wypłacają honoraria za skandalizowanie czytelników, nie jestem zobowiązany uzasadnić swego braku aprobaty dla książki, która przez dwadzieścia lat robiła w Polsce karierę w ciemno. Jeśli jednak pociągną mnie za język, będę musiał coś wspomnieć o niemożności wyłowienia z tekstu jakiejkolwiek myśli, która potrafiła mnie do lektury przywiązać. (W tym względzie „Ulisses" dzieli zresztą los książek, które mnie naprawdę interesują: co chwila unoszę wzrok znad ich stron kontemplując oryginalność przemyśleń i celność sformułowań. Można więc powiedzieć, że i Joyce'a i autorów ciekawych czytam z oczyma w górze).

Przepraszam uprzejmie, ale takim czytelnikiem też wolno być, a nawet nie śmiem się ubiegać o premię za oryginalność, która teraz — fałszywa czy nie — jest w takiej cenie. Proszę bardzo: wszystkim się podoba, mnie nie.

Prawda — nie wszystkim. Dlatego wdzięczny jestem Olgierdowi Terlecklemu („Życie Literackie", 22.II.1970), który z taką rozwagą odpowiedział na zachwyty Juliana Przybosia wyrażone w „Życiu Warszawy". Nawiasem mówiąc, ki diabeł? Przyboś, ten nie tylko wyznawca, ale herold określonego kanonu stylistycznego, nie wykazujący w tym odchyleń przez dziesiątki lat, może być równocześnie entuzjastą Joyce'a i Dąbrowskiej? Bo coś o języku tej pisarki w tonacji super-aprobującej kiedyś się czytało.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o ten ruch na Joyce'a nawet na tle dzisiejszego popytu na książkę wyjątkowy do tego stopnia, że księgarniany żywot "Ulissesa" liczyło się na godziny. Czy ta książka, na naszym gruncie spóźniona przecież co najmniej dwadzieścia lat w stosunku do dzieł awangardy literackiej, które ją u nas wyprzedziły, a więc i zdystansowały pod względem „eksperymentatorstwa", może być sama z siebie przedmiotem aż tak galopującego zainteresowania? Chyba nie. Doszła tu do głosu jedna z psychoz literackich, tak wyraźnie panujących w środowisku czytelniczym, moda na nowostkę tak pośpieszna, bo świadoma faktu, że jeśli w krótkim czasie nie zdąży się zaktualizować, nie będzie istniała w ogóle, wyparta przez mody przyszłe, już czekające w ogonku.

Tak więc popularność „Ulissesa" jest zjawiskiem pozaliterackim. Dotyczy raczej psychologii zbiorowości w ogóle, aniżeli ujawnienia się określonych gustów estetycznych w szczególności.

Ale dlaczego taka moda istnieje? Czyżby współczesny czytelnik na podobieństwo współczesnego poety utracił indywidualność, tworząc nową i niezróżnicowaną masę ludzi odwiedzających Dom Książki, czytelnie i kioski? Jestem chyba w pełnym prawie coś podobnego przypuszczać. Jeśli festiwale sopockie i opolskie są oblegane takimi masami za pośrednictwem tranzystorów, telewizorów i aparatów radiowych, jeżeli absolutny banał o świecie, który jest nieoczekiwanie dziwny, lub o miłości, której trzeba szukać nie za daleko i nie za blisko, potrafi rozkołysać tak czynnym odbiorem szeregi wiernych, skłaniających się jak muzułmanie pod zaśpiewem muły, mam chyba podstawy przypuszczać, że podobne zjawisko występuje na terenie czytelnictwa. Przecież odłam społeczeństwa, zajmujący się oklaskami aż do obrzęku dłoni na rzecz pierwszej z brzegu piosenkarki, jest tak liczny, że z jego szeregów muszą się również rekrutować czytelnicy literatury pięknej, jako że do tego drugiego zajęcia nie przywożą nam wykonawców pojazdy kosmiczne z innych planet. Tak więc Joyce znalazł się tu w tym samym szeregu, co Ali-babki.

Czytelnik oporycyjny w stosunku do obiegowych ocen, czytelnik krytyczny? Owszem, istnieje, ale gust tegoż zanadto zdradza powinowactwo z jakąś samoswoją recydywą dziewiętnastego wieku, z zespołem na własny użytek ułatwionych kryteriów. (Proszę nie zrozumieć, że chcę tu wyrazić niechęć do ubiegłego stulecia, którego jestem zwolennikiem; na odwrót: ten właśnie typ krytycznie nastawionego podejścia do powierzchownej nowości sam kompromituje wiek XIX przez swe podejrzane sąsiedztwo). Słusznie odrzucając artystyczny bluff, odznacza się równocześnie taką niechęcią w stosunku do wszystkiego, co angażuje intelekt, refleksję, że jego „anty-awangardowość" jest sojusznikiem aż obleśnym. Rzuci ci się na szyję wraz z bebechami „ludzkiej", prawdziwie filozoficznej „prostoty".

Ale cóż tak wybrzydzam? Kto więc według mnie należycie czyta książki? Ha, nie tajęć, że i talent czytelniczy nie należy do zjawisk w liczbie przesadnych...

Ijon

BIG-BEAT

Nareszcie spektakl!

PANIE Redaktorze! W poprzednim numerze „Kameny" p. Maria Bechczyc-Rudnicka pisała: „Ziewając z nudów „w pustyni i w puszczy", przyrzekłam sobie solennie, że nie napiszę recenzji ze spektaklu tak wyjałowionego z Sienkiewiczowskich treści...".

Udało mi się dostać bilet na premierę „Aktu przerywanego" Tadeusza Różewicza. Miejsce było tak szczęśliwe, że mogłem obserwować reakcję zasłużonej recenzentki „Kameny". Jeśli p. Maria Bechczyc-Rudnicka napisze, że ziewała również z nudów na „Akcie przerywanym", proszę te słowa skreślić na moją odpowiedzialność. Ba — recenzentka „Kameny" najgłośniej domagała się po zakończeniu spektaklu, aby na scenie ukazał się REŻYSER i chyba najdłużej biła brawo. Muszę skromnie nadmienić, że mnie też ręce popuchły od oklasków i mam teraz pewne trudności przy pisaniu tego tekstu, za co pełną odpowiedzialnością obarczam w kolejności następujące osoby: p. Kazimierza Brauna, kierownika artystycznego teatru, reżysera widowiska, p. Jadwigę Pożakowską, scenografkę (proszę nie poprawiać na „scenografa"), p. Barbarę Martynowicz, która wystąpiła w roli czerstwej kobiety, p. Tadeusza Borowskiego — na scenie reżysera, p. Zytę Polomską — piękną dziewczynę (nie tylko z roli), p. Mariana Drozdowskiego — konstruktora, p. Piotra Suchore (chłop marnuje talent, mógłby śpiewać dla długowłosych nastolatków), p. Henryka Sobiecharta — szpakowatego (?) mężczyznę, p. Zbigniewa Górskiego — komisarza policji, p. Romana Bartosiewicza — obcego mężczyznę, p. Sylwestra Woroniecklego — Michała Archanioła, p. Zbigniewa Szteimana — zastępcę konstruktora, p. Macieja Polańskiego — ordynatora szpitala, p. Franciszka Brodziaka — pierwszego robotnika, p. Urszulę Rydzewską — pielęgniarkę (hm, hm...). Maluczko a zapomniałbym o p. Stanisławie Pawlaku, który przygotowując realizację akustyczną dobrał takie efekty, że skóra cierpła.

No i, Panie Redaktorze, wychodzi mi panegiryk. I to wcale nie z powodu tego, jak to się mówi, topless, chociaż trzeba zanotować w kronice lubelskiej sceny, że w dniu 28 lutego 1970 roku odważono się tu pokazać po raz pierwszy g o ł e piersi. Światło było wprawdzie nieco przyćmione, ale nie domagajmy się od razu duńskich pornotargów. Panegiryk wychodzi dlatego, że lubelski teatr wziął na warsztat — w sposób twórczy — Różewicza, nie przeraził się starej i nowej kołtunerii, wystawił rzecz, która na pewno będzie budziła kontrowersyjne uwagi, ale która już sama w sobie stanowi duże wydarzenie kulturalne w naszym mieście.

Nie wiem, jak będzie z frekwencją, jaka będzie reakcja sali, bo przecież tzw. premierowa publiczność nie stanowi żadnego kryterium, trudno mi też w tej chwili przewidzieć, co napiszą lubelscy recenzenci. Jakakolwiek byłaby jednak ich ocena, w niczym nie zmieni to mojego stosunku do ostatniej premiery. Dobrze, że p. Kazimierz Braun eksperymentuje. Teatr to nie świątynia i nie muzeum. Nie zawsze musi ze sceny grzmieć Hamlet. Nie zawsze musi się rozlegać „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", nawet jeśli publiczność wali do teatru drzwiami i oknami. Nie zawsze też aktorzy muszą bawić publiczność. Niech i aktorzy sami się trochę pobawią!

Barbara Martynowicz i Tadeusz Borowski to (nie wystawiam laurek, ale w tym wypadku... ręka swędzi) bodaj najlepsze „nabytki" teatru w ostatnich latach. Nikt mnie zresztą nie przekona, że w Lublinie mamy złych aktorów. Rzecz jednak w tym, jak się tych aktorów wykorzystuje. Pod tym względem nie zawsze jest najlepiej, ale to już temat osobny dla recenzentów.

W programie „Aktu przerywanego" przeczytałem: „Komedia niesceniczna w jednym akcie". Dajcie nam, bogowie, więcej takich komedii niescenicznych w naszym mieście. Może wyjdziemy wówczas z teatralnego zaścianka? Z teatralnej pustyni i puszczy?

Panie Dyrektorze Teatru: świat należy do odważnych!

Jacek

NOTY i notki

JAK PROPAGOWAĆ CZYTELNICTWO książek? Zależy od inwencji. Zdaniem „Nowin Rzeszowskich" (nr 54) dobrze jest robić tak, jak w starej flisackiej wsi Ulanów. Tamtejsza bibliotekarka „organizuje tradycyjną lampkę wina". Widocznie działa to niezwykle ożywczo na prądy umysłowe mieszkańców Ulanowa, dzięki czemu już nie tylko w lokalu biblioteki, ale w całej wsi „toczą się żywe rozmowy, dyskusje o przemianach w naszym kraju". Przemiana rzeczywiście jest, trudno tylko zgodzić się z wnioskiem: „Ulanów ma duże ambicje kulturalne".

CZĘSTO PISZE SIĘ o chałturze estradowej, ale nikt jakoś nie zabrał się jeszcze do wiwisekcji chałtury prelegenckiej. Zima wprawdzie już mija, ale zbliżają się Dni Oświaty, Książki i Prasy, więc rzecz staje się ponownie bardzo aktualna. Otóż są prelegenci — najczęściej z Warszawy — którzy korzystając z różnej przynależności organizacyjnej lub tytułu naukowego przyjeżdżają na jeden dzień, a właściwie jedno popołudnie, aby wygłosić trzy prelekcje. Rzecz odwala się byle prędzej, dyskusję z miejsca ucina, odpowiada się na jedno, dwa pytania — i jazda dalej. Czy i w tej dziedzinie nie warto przeprowadzić jakiejś weryfikacji?

JAKO PISMO Zarządu Głównego ZMS „Dookoła świata" powinno czegoś uczyć — choćby poszanowania pracy, szacunku dla innych. Tymczasem w nr 9 zamieszczono przedziwnie dobrane „fragmenty pracy" jakiegoś dziewiętnastolatka. Młody człowiek, oczywiście bardzo autorytatywnie, twierdzi m. in., że jest bardzo źle w PRL, bo „nasz brygadzista jest taki, że on będzie szukał roboty i ją znajdzie". Co znaczy, że powinien pomagać w wymigiwaniu się od roboty. Ale „najbardziej nas wszystkich denerwuje kierownik Stacji Obsługi... stanie koło kogoś i stojąc mówi, że za wolno pracuje się". Bo powinien usiąść i zawołać: chodźcie, chłopaki, pogadamy. A najgorszy to dyrektor, bo „straszy premią i zwolnieniem z PKS za wolną pracę". A powinien dać dyplom i nagrodę. I wreszcie „najgorzej (dyrektor też był najgorszy — przyp. JOD) mnie denerwuje taka sytuacja, kiedy gdzieś się spieszę, a tu cię spotyka kolega i prosi o pomoc". Pewnie — dać koledze w zęby i pospieszyć po honorarium do redakcji, która takim tekstem toczy szlachetną walkę o wyrabianie właściwej postawy u młodych czytelników.

Z DUMĄ i aż na pierwszej stronie doniósł „Express Wieczorny" (nr 46), że w jednej z hal montażowych „Fiatów 125P" otwarto wystawę malarstwa i grafiki studentów ASP. Jak widać na załączonym zdjęciu abstrakcyjne prace umieszczono tuż przy taśmie montażowej. Ponieważ wkrótce w tym samym miejscu ma być urządzona wystawa rzeźby — pozwalam sobie zaprotestować. Ostatecznie hala montażowa, a zwłaszcza taśma montażowa, jest od montażu. Co będzie, gdy robotnicy zamiast montować samochody zabiorą się do oglądania wystawy i zarażą się abstrakcjonizmem? Jak wtedy będą jeździły abstrakcyjne „Fiaty 125P"?

JAK BARDZO ZAŚ POTRZEBNE SĄ samochody rzeczywiste, a nie abstrakcyjne, świadczy przykład z pewnego przedszkola w Kielcach. Dwóch maluchów pobiło się tam o obarzanek. Kierowniczka, nie wdając się w ustalenie prawa własności indywidualnej, zaproponowała: podzielcie się, jutro mamusia kupi drugiemu i znów się podzielicie. Na co jeden z poróżnionych: — Moja mamusia nie kupi, bo zbiera na samochód.

NIEKTÓRE DYREKCJE POCZT uruchamiają wciąż nowe numery specjalne, dzięki którym można dowiedzieć się coraz bardziej dziwnych rzeczy. Ostatnio mieszkańcom Białegostoku zafundowano nr 917, który każdemu telefonującemu oferuje — horoskop życiowy. Ta dyscyplina szarlatanerii ma coś wspólnego z zaświatami, ja zaś wolałbym, aby poczta — zresztą nie tylko białostocka — zajęła się na ziemi szybszym doręczaniem listów, polepszeniem słyszalności w telefonach, opatrzeniem znaczków wystarczającą ilością kleju, likwidowaniem kolejek przed okienkami itp.

DZIAŁALNOŚĆ ADMINISTRACYJNEJ BIUROKRACJI w mordowaniu języka polskiego wciąż jest niewyczerpana. Oto np. zakłady gastronomiczne z Jeleniej Góry aż w prasie warszawskiej „polecają usługi w zakresie wydawania posiłków śniadaniowych, obiadowych i kolacyjnych". Dotychczas po prostu jadłem kolację, teraz zaś będę musiał korzystać z usług w zakresie wydawania posiłku kolacyjnego. Ale to nie koniec. W tym samym ogłoszeniu dalej: „zaprasza się na działalność rozrywkową, umilaną doborowymi zespołami". Co więc, do diabła, obejmuje sama działalność rozrywkowa (15 proc. dodatku do cen), jeżeli jeszcze trzeba je umilać?

JOD

W SYCZNIOWYM NUMERZE „Miesięcznika Literackiego" Julian Przyboś użył wyrażenia „platońska entelechia". Termin ten pochodzi nie od Platona, lecz od Arystotelesa. Wprawdzie nie jest tak często używany, jak monady Leibniza, triada Hegla, kategoryczny imperatyw Kanta, czy élan vital Bergsona, ale i tu warto być w zgodzie z historią filozofii.

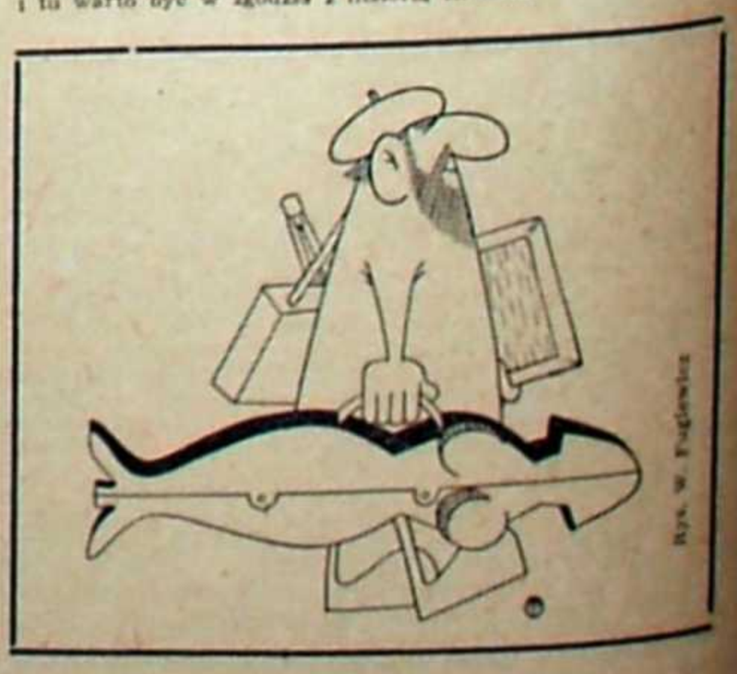

Rys. W. Fuglewicz

Odpowiedzi redakcji

M. O. w Poznaniu. Wiersze publikował Pan w wielu czasopismach, ale dla nas ta rekomendacja, choć cenna, nie taka znowu konieczna, bo nadesłane teksty istotnie zapowiadają poetę, może nie na miarę jakiegoś „odnowiciela" naszej poezji, ale zawsze... Postaramy się „coś" opublikować, choć trudno nam ściśle określić termin, jako że zapasy nasze w tej materii — właściwie bezdenne.

J. L. w Szczecinie. Dosyć trafnie i dowcipnie podchwycił Pan atmosferę „bycia" w tzw. Towarzystwie. Zastanawiamy się tylko, czy sprawy to warte opisywania. Były już w Polsce próby prozy o rodzimych środowiskach artystycznych i im podobnych — raczej jałowizna literacka stąd wyniknęła. Chyba najlepiej udało się Głowackiemu, ale i tak jego drapieżna proza ma — wedle nas — bardziej wartość sondy socjologicznej, niż literatury sensu stricto. Radzimy zmienić obiekt twórczych zainteresowań. „Wyjście z klubu" — być może, opublikujemy, z tym samym zastrzeżeniem, co wyżej, i na zasadzie humoreski. Chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś więcej o Panu.

L. K. w Lublinie. Wielce Szanowna Pani, mieliśmy już okazję stwierdzić w tym miejscu, że sama szlachetność myśli, wyznawanych ideałów, nie czyni automatycznie poezji. Od zdania tego nie jesteśmy skłonni odstąpić ani z okazji 1 Maja, ani też Święta Kobiet. Pozdrawiamy serdecznie.

W. Z. S. w Lublinie. Nie publikujemy w naszym piśmie tekstów piosenek i pieśni. Charakter Pańskich utworów skłania nas do rady, aby w sprawie ich walorów zasięgnął Pan opinii w Stowarzyszeniu Twórców Ludowych. Za skutek, oczywiście, nie odpowiadamy; ale próbować chyba warto.

M. L. P. w Lublinie. „Jeżeli to, co wysyłam, posiada jakieś wartości, to bardzo proszę o wydrukowanie w Waszym czasopiśmie" — powiada Pan. Niestety, wydrukować nie możemy... Wnioski prosimy sobie samemu wyciągnąć. Pozdrawiamy.

J. S z B. Istotnie, w nadesłanych utworach znać wielki brak doświadczenia literackiego autora (autorki?), co się głównie na banał poetycki przekłada: „nektar szczęścia", „mroczna przepaść", „kolorowa przystań". Pierwsza robota, jaka Pana (Panią?) czeka, to zredukowanie tego rodzaju wyeksploatowanych poetycko zbitek. Robota ciężka, boć chodziłoby o przemeblowanie wyobraźni. Życzymy powodzenia i kłaniamy się pięknie.

A. B. w Bytomiu. Rzeczywiście, prawidłowo powinno być „poprawianie zadań". Ale — po pierwsze — musimy honorować prawa autorskie, które obejmują zarówno rysunek, jak i podpis, zaś na publikacji całości zależało nam. Po wtóre — język potoczny, jak łatwo pojąć: użyty ś w i a d o m i e przez autora, dopuszcza pewne odchylenia od normy (por. „Stylistyka polska" H. Kurowskiej i S. Skorupki — rozdział o stylu potocznym). Tego rodzaju „odchyleniem" jest równoważność w mowie codziennej form: „tę" — „tą", na razie uważana jeszcze za błąd, ale już na pograniczu uprawomocnienia się. Za pilne śledzenie i p o p r a w i a n i e ewentualnych błędów językowych w naszym piśmie pięknie dziękujemy. Polecamy się na przyszłość.

F. L. w Zaklikowie. Interesują nas wspomnienia partyzanckie, ale takie, które wnosiłyby coś nowego albo w zakresie faktów, albo też w dziedzinie prawd psychologicznych o tamtym trudnym okresie. Jeśli ma Pan coś takiego w szufladzie, chętnie skorzystamy. To jedyne kryterium, jakim się posługujemy. Inne kryteria, choć w tzw. życiu rozmaite kupony podsuwają do wycięcia, ale tylko p o d s u w a j ą, usiłujemy w każdej twórczości literackiej unieszkodliwiać. I nie tylko my. Oczekując rzeczowej reakcji na te stwierdzenia, liczymy na odpowiednie teksty.